



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 17 kwietnia 1955 r.

Nr 16 (264) Rok VI

W 25-LECIE ŚMIERCI WŁODZIMIERZA MAJAKOWSKIEGO

LEWA MARSZ!

Zwięźle określił zasady artystyczne socjalistycznej poezji pisząc: „Osobiście stawiam swoim wierszom dwa specjalne wymagania: jeżeli wstaną z grobu wszyscy poeci, winni powiedzieć: takich wierszy nie było, takich wierszy nie znamy, nie umieliśmy. Jeżeli wstanie z grobu przeszłość: biali i restauracja — winni odnaleźć moje wiersze i zniszczyć je za całkowitą dla białych szkodliwość”.

Ten wysoki, barczysty człowiek o donośnym głosie i szybkim kroku patrzył szeroko otwartymi oczyma ponad głowami lokalnych wielkości, sepieniących poetów, zadufanych krytyków.

„Wpadnijcie za tysiąc lat, pogadamy” — odpowiadał z gorzką ironią ludzikom, nie pojmującym skali olbrzyma, przyzwyczajonym każdemu zjawisku włączać w schemat sztywny i prosty jak kij. Majakowski nie układał się w żaden schemat.

Majakowski wzywał słowa i strofy do wielkiej wszechświatowej bitwy o szczęście człowieka i każdą literkę, każdy dźwięk swego wiersza traktował jak żołnierza frontu klasowej walki.

Przez dwanaście lat od zwycięstwa Października napisał 11 tomów wierszy, sztuk, scenariuszy filmowych, reportaży, artykułów, reklam. W latach wojny domowej namalował kilkaset plakatów, wygłosił kilkadziesiąt referatów, przemierzył świat od Moskwy do Meksyku, od Nowego Jorku do Warszawy, recytował swoje wiersze przed dziesiątkami tysięcy ludzi.

W każdej strofie był sobą: i wtedy gdy pisał agitki pod rysunki plakatów ROSTA, i wtedy gdy mówił o wielkiej miłości w poemacie „Kocham”, i wtedy gdy komponował poemat „Dobrze” — hymn zwycięskiej rewolucji.

W każdej strofie był sobą: groźny, namiętny, szyderczy, patetyczny, tkliwy i hałaśliwy: w każdej strofie zostawiał cząstkę swego charakteru, swego uczucia, swej pasji nieokiełznanej i szlachetnej, nasyconej romantyzmem rewolucyjnego działania.

W jedną z ostatnich nocy dźwięczących ciszą pustego mieszkania taką strofą zanotował w swym notesie:

Znam siłę słów,
znam siłę słów dzwon alarmowy
Nie tych, którym gawłowa bije brawo klaka
Od takich słów powstają trumny z grobów
I kroczą na dębowych kikutach czworakach
Znał siłę słów celnych i giętych,
donośnie dźwięczących z

tełnika w zacisznym gabinecie, lecz wychodził mu naprzeciw hasłem zawieszonym na parkanie, czterowierszem podpisu pod plakatem, tekstem żartobliwego elementarza dla żołnierzy.

Majakowski nie czekał na czytelnika: siedział do niego na wiece, zabrania, wieczory autorskie, wkraczał na szpalty masowych gazet, by w milionach rozpowszechnić swoje wiersze.

Majakowski nie idealizował czytelnika: nie skłaniał głowy przed jego złym gustem, małym czytaniem czy niezrozumieniem. Tłuma- czył, przekonywał, sztydził. Ale nigdy go nie lekceważył z pańska, nie lamentował beznadziejnie „nad ciemnotą”, niskim poziomem, i pisać swe

Przed 10-leciem przymierza polsko-radzieckiego

**Przyjaźń polsko-radziecka uświęcona
wspólnie przelaną krwią stanowi nie-
wzruszony fundament niepodległości
i wolności Polski Ludowej.**

Napis z komentarza żołnierzy radzieckich w Warszawie.

estrady, odnajdujących ludzi spragnionych dobrego, mocnego wiersza, reflektorem poezji oświetlającego trudną wyboistą drogę.

Do własnej twórczości przykładął największą miarę: miarę rewolucji. Do poezji rówieśników przykładął swoją miarę: niewymierzalną miarę geniuszu:

Był głosem ludu, który obalił stary świat i tworzył nowy. Dlatego miał prawo powiedzieć:

„Niech wspominają lirycy wierszyki, przy których się kochali. My wolimy wspominać strofy, w takt których Denikin uciekał spod Orła...”

Majakowski nie czekał na czy-

strofy pamiętał zawsze o tym czytelniku.

Młody Marks pisał, że „oręż krytyki nie może oczywiście zastąpić krytyki orężem: siłę materialną trzeba odpiąć odpiąć siłą wszelako i teoria staje się potęgą materialną, skoro porywa za sobą masy...”

Majakowski pragnął, by jego wiersze stawały się siłą materialną, by przeobrażały ludzi radzieckiego kraju, by tworzyły nowe socjalistyczne życie, by stawały się częścią socjalistycznej społeczności. Dlatego swoje liryczne ja utaja-

(Dokończenie na str. 2)



WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

150.000.000

(ZAKOŃCZENIE POEMATU)

Historio,

jak na dłoni

bieg twój w tym rozdziale.

Głodno i cierpiąc,
rozstępują się miasta,

a nad kurzem alej

inne życie wschodzi jak słońce.

Rok z ogromną ilością zer.

Święto

obce dawnemu kalendarzowi.

Flagi stroją

i domy,

i ludzi.

Może to

setna rocznica Rewolucji Październikowej,

może

po prostu

nastrój przedziwny się zbudził.

W ukos nieba rój sterowców śpieszy,
pociągami,

na pokładach ogromnej eskadry,

w wijących się kolumnach pieszych
za kadrami stają ludzkie kadry.

Wielkogłowi,

w czerwonej jasności

stają z Marsa przybyli goście.
Kołują i znów nikną

aeroplany.

I słońce znów

zakryte stadem śmigłem.

I znów

z najdalszych zlatują się planet

z rozwalonym zła słońca śmigłem.
Już starte pustynie z pyska ziemi,

istną feerią drzew strzelistość.

Wśród byle Sahary

zielonych przestrzeni —

dziś

doroczna uroczystość.

Dni jedne po drugich biegną
na przemian z nocy ciemnościami.
Nim się zdążyli ustawić w szeregi,
huknęli:

— Zaczynamy!

„Głos ludzi,

zwierząt głos,

rzek wycie

niech wzwyż się w chwalbie naszej wije.

Śpiewajcie wszyscy i wszyscy słuchajcie —

oto świata uroczyste requiem.

Wam, dawnym,

coście lata głodowali,

o dzisiejszym raju rozgłaszając wieść,

wam,

kórtzyście lat milionom dali

śpiewać,

pić,

jeść.

Wam, kobiety,

dla gronostajów

zrodzone,

ciało w łachmany strojące,

coście trupem padały

za chlebem wystając,

udręczone kolejek tysięcy.

Wam,

legiony cherlawych dzieci,

tłumy pokreconej przez głód młodzieży,

tym, co doczekali czegoś na świecie,

i tym,

z których nikt nie przeżył.

Wam,

zwierzęta,

co żebrami świecąc

zapomniałyście owsa, który zjedli ludzie,

woząc kogoś i lichy wie co,

aż, zachłostane, padałyście w trudzie.

Wam,

rozstrzelani na barykadach ducha,

by dniom dzisiejszym wyjść pieśnią naprzeciw,
coście chciwie przyszłości nadstawiali ucha,

malarze,

śpiewacy,

poeci.

Wam, kórtzyście

dym i czad wdychali;

życie, co na włosku wisiało każdej chwili,

rdzawym żelazem, trybami zgrzytały,

a jednak pracowali, —

a jednak robili.

Wam niemilkących chwał słowa,

rozkwitających przez wieki peanów,

za nas umęczeni — wam sława,

miliony żywych,

eeglanych

i innych Iwanów”.

Spokojnie rozchodziła się defilada świata —
bo dawne nieszczęścia nie jątrzą boleśnie.

Zal

workiestrował się

w spokój przez lata
i pod niebiosą uleciał w pieśni.

Rozbrzmiewają jeszcze głosów echa

o czyjejs śmierci,

o wiecznej pamięci,

A ludzi

ponosi już

wielobarwna uciecha

i blaskiem ulic chwila ich nęci.

Więc się obracaj wśród pieśni ładu,

rozkwitaj, ziemio, w młóce i w siewie!

To dla ciebie,

rewolucji krwawa Iliado!

Głodnych lat Odysejo, dla ciebie!

1919—1920

Przełożył Seweryn Pollak

JERZY LOVELL

O kamiennych twarzach

Wybuch następuje w zupełnej ciszy. Upiornej ciszy. Czarny grzyb dymu zakrywa niebo. Echo kroków trwa jeszcze w ulicy — i nagle ulica przestaje istnieć: głos żyje dłużej od źródła dźwięku. Po miastach, krajach, kontynentach może pozostać tylko echo. Przez sekundę, ułamek sekundy...

Sala zamarła w ciszy i nikt, nawet mówcy, nie śmie jej przerwać. To są minuty pozostawione wyobraźni. Twarze kamienieją w wyrazie głuchej grozy.

Znam ten wyraz. Widziałem go na wielu twarzach, w wielu okolicznościach. Na twarzach ludzi z tej sali. Twarzach ludzi zewsząd. Twarzach nagle skamieniałych w wyrazie głuchej grozy — przy pracy, w łagodnej chwili przed snem, nad artykułem w gazecie, nad łożeczkim dzieckiem.

Wpisano nam w nasze życie ciętki, głuchy niepokój. Nie wypierajmy się go: on jest, istnieje, pulsuje w naszych sumieniach, towarzyszy pokoleniu jak złowroźna kometa. Przejść obok niego lekkim krokiem — znaczyłoby rozminąć się z epoką. Nie pokazać twarzy skamieniałych w grozie — znaczyłoby skłamać prawdziwą twarz czasu.

Sala, która trwa teraz w ciszy, jest tylko zgęszczeniem uczuć powszechnych. Nie znając nikogo na sali — znam wszystkich z perypetii życia płynącego poza jej ścianami, powtarzającego w tysiącnych wariantach te same myśli, zwątpienia, lęki. Ich zjadliwa siła obudziła się z chwilą, gdy pierwszy grzyb dymu wzniósł się nad światem, i spoczywa w jego groźnym cieniu — w upiornej, przedłużonej na lata ciszy. Jej ciężar przyniósł. Wcisła się w każde życie.

Dlatego nie znając na sali nikogo — znam wszystkich.

Młoda kobieta obok spłotła ręce na okrągłym wżgórzu brzucha. Przymknięte powieki cofają spojrzenie w głąb, po twarzy przebiegają cienie. Dialog troski z nadzieją. Znam go. Pokażcie mi młode małżeństwo, które decyzji powołania do życia dziecka nie okupuje dniami i nocami lęku... Znam i tę kobietę starszą, z siwymi włosami nad twarzą myślącą, zmęczoną: lęzł z razy spotykałem ją w rozgardiaszu życia z oczyma nagle zgasyłymi, myślami nie zdolnymi uchwycić sensu niczego, z ponurą kulą ciemności u nóg... Znam i tego mężczyznę surowego, poważnego — działacza? polityk? Z temu podobnymi prowadziłem nieraz długie rozmowy; spokojni o wynik narzuconej nam wojny, chylili się skamieniałe twarze przed widmem nieszczęść, zagłady...

Na sali cisza trwa. Ale oto z dalekich rzędów przeciska się do mównicy kobieta z trudem powłócząca nogami, zgięta ku ziemi, drżąca.

— W pierwszej wojnie straciłam całą rodzinę, w drugiej męża i wszystkie dzieci... Został mi jeden wnuczek.

Zakłęcie ciszy prysło. Mówczyni zmieniają się teraz szybko — wyszarpują spod serca żywą pamięć zamordowanych, wydobywając ich święte ciała z mogił i zgłaszają — ciała dzieci, mężów, rodziców, braci... szloch, który zrodził się nie wiadomo gdzie, ogarnął całą salę: skamieniałe grozą rysy rozluźniają się w gorącej kąpieli łez, w smagnięciach obudzonego bólu. I nagle sala targnęła krzyk:

— Mam dziewięcioro dzieci... Nie dajcie im zginąć!

Wysoka kobieta na mównicy przeciska ręce do piersi — jakby tuliła swoje najmłodsze. Jest uosobieniem macierzyństwa, siły mroźnego życia, utwierdzającej sens świata; w gęście obrony dziecka skupia gest wszystkich matek — protest przeciw bezsensowi rodzenia dla śmierci.

Rozdzielał ten sens na miliony podobnych; on trwa wszędzie tam, gdzie twarze kamienieją grozą. Jest jej następstwem, jak następstwem bólu jest niepomahowany gniew. Życie zagrożone w swym rdzeniu, w swej podstawowej treści, reaguje najpotężniejszym buntem: gniewem matek.

— W dniu ratyfikowania układów paryskich w Bundestagu — mówi czyjś wzruszony, podniesiony głos — ze wszystkich krańców Niemiec Zachodnich zdążyły do Bonn kobiety. Jechały pociągami, autami, przysiadły się na fure wieśniaków, szły piechotą. Dzień był mroźny, zimowy. U bram miasta policja czekała przy ulicznych hydrantach. Runęły potoki wody. Płaszcz i chusty sztywniały, obrastały lodem, chrzęściły przy każdym ruchu. Mróz palił ogniem. Żadna się nie cofnęła. W ogromnym krzyku niesły swój protest. A potem rzuciły się na stanowiska wojsk amerykańskich; gołymi rękami, pod razami kolb, rozdrapywały ziemię schronów, niszczyły broń... Aby ocalić sens macierzyństwa, obronić życie dzieci...

Sala brzęczy jak rój rozdrażnionych pszczoł. Twarze, twarze, twarze... Zapamiętajcie twarze gniewnych matek: złe, zacięte, płonące mądrą nienawiścią. Świat ma twarz małego dziecka. Nad światem zawisi groźny grzyb ciszy.

Sala pustoszeje. Wiele Ligi Kobiet dzielnic Stare Miasto, zwołany w celu poparcia Apelu Światowej Rady Pokoju, zakończył się.

Jerzy Lovell

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

PORZĄDNY OBYWATEL

Jeśli oko two
wroga nie widzi,
żar zagasi
w niepowskim mroku,
jeśli odwykłeś już
nienawidzić —
to przyjeżdż
tu,
do New Yorku.
Byś, przez jeże latarni
pokłuty,
milami ulic oplątany,
przeszedł się i ty
Illiputem
u podnóża
niebotycznej ślany.
Spójrz —
tam dla dzieci
odpadek
zgrają żebrzącą —
by przeganiała „busy“
w swym aucie
miliarderka,
mknąc ku pałacom.
Zajrzyj —
tu toalety im szyto,
w tej spowitej w mrok
kamienicy.
I zagłusza elevator
swym zgrzytem
kaszel
i charkot
krawieckiej gruźlicy.
A właściciel
swą łapą lepą,
z mordą,
od czyraków
robotnicę
opuchłą,
po piersiach klepie;
„Spodobalaś mi się,
córuchno!
Mało ci setki,
dam dwieście całe,
smutek
z twoich oczu
wygonię!
Zmienię
życie two
w Cooney Island,
w luna-park
świeć skracający milionem“.
Wziął ją —
a jutro
stugłowe zwierzę,
bezpłciowe wiedźmy
wylegną na łów:
 prostytutkę —
do dziegcia i w pierze,
i znowu do dziegcia,
i w pierze znów.
O, fabrykancie,
w hotelu Plaza
chlejąc,
łaski najwyższej liźniesz!
O niebios
oczkami zawadzasz:
„Thank you
za dobry business!
Uspokój się —
każdy doceni
pańską trzeźwość,
moralność,
złoto —
bębny
wszystkich „armii zbawienia“
na świat cały
roztrąbią
twa cnotę.
Dobry Bóg
nie skarci cię
gromem.
Wykpił się
jakaś opłata,
gdy będzie dlań zbierał
na domek
boży manager,
pop Platon.
Nie,
ty nie padniesz
z policją walcząc.
Zebyś mógł się w swą sytość
otulić,
patrzy
przez wypielęgnowane palce
na ciebie
demokrata Coolidge.
I czuwając
pod niebios kopułą
nad obłudą,
centami
i sadłem,
wolność wasza
pręży pięść
ponuro
nad więzieniem
Ellis Island.

1925

Przełożył Anatol Stern

Murem pierś nastawiał.
Flagami niebo zaćmiewał.
Kto tam ruszył z prawej?
Lewa
Lewa, Lewal

Grzegorz Lasota

Kartki z dziennika lektury

Odpowiedź na list uczennicy XI klasy

JERZY ANDRZEJEWSKI

Jerzy P., który jest redaktorem jednego z naszych pism młodzieżowych, nadesłał mi niedawno list pewnej czytelniczki prosiąc, abym zechciał na niego ewentualnie odpowiedzieć. Oczywiście zaraz ów list przeczytałem. Autorką okazała się uczennica XI kl. — przodująca polonistka wyróżniająca się dużą inteligencją i czytaniem. Zaś sprawa, z którą się zwróciła do redakcji, dotyczyła właśnie czytania. „Od najmłodszych lat — pisze — ta młoda osoba — nie spałam po nocach, a tylko czytałam i czytałam. Niestety, bez najmniejszego porządku, przez Balzaka, Stendhala, Zolę i Hugo, Zeromskiego i Rollanda, Prusa, Orzeszkową, Sienkiewicza i Musseta przeleciałam całą literaturę. Próbowałam nawet „literatury lekkiej“, jak „Trędowata“, ale zupełnie mi nie odpowiadała, naprawdę. A moja prośba jest tego rodzaju: napisz mi, Redakcjo, mniej więcej jakiś schemat, kogo czytać, aby mniej więcej zapanować jakiś ład w moich rozproszonych pojęciach o literaturze... Sądze, że skorzysta z niej (to znaczy: z odpowiedzi) oprócz mnie wielu innych czytelników, którzy nie wiedzą co czytać i w jakiej kolejności, aby mieć szerokie spojrzenie na świat i literaturę“.

Po paru dniach Jerzy P. zadzwonił do mnie, pytając czy napiszę odpowiedź. Odmówiłem wraz z wyjaśnieniem, że gdyby w podobnej sprawie zwracał się człowiek uczący się dopiero kulturowego alfabetu — chyba bym mu przyszedł z pomocą i radą, natomiast nie wydaję mi się rzeczą właściwą wypracowywanie jakiegoś „schematu“ lektury dla młodej inteligentnej dziewczyny, już maturzystki. A niechże sobie „przelatuje“ przez prozaików i poetów, przez wielki literatury! Niech się sama uczy na swoich doświadczeniach, niech sama szuka i na własną odpowiedzialność niech przeżywa wzruszenia i rozczarowania, porażki i zwycięstwa. Ja mam temu młodzieńskiemu stworzeniu podsuwać jakieś gotowe schematy, jakieś listy książek, które „należy“ przeczytać? Nigdy! Przeciwnie; chciałoby się zawołać: skąd się w Tobie wzięła, dziewczyno, ta potrzeba unikania prób osobistych? Czy sądzisz, że czyjekolwiek, nawet najlepsze, doświadczenia mogą zastąpić to co powinno być w Tobie wypracowane samodzielnie? I czy mało Ci przeróżnych schematów w życiu? Jeszcze jednego potrzebujesz?

Są ludzie, którzy sięgają po tzw. literaturę wówczas tylko, gdy trzeba im w jakiś mało obowiązujący sposób wypełnić „dziurę“ w czasie. Bóg z nimi! Tym w ogóle trudno coś doradzać lub odradzać. Upór młoda jest płochą igraszką wobec uporcu głupców. Ci wszakże, którzy w swój stosunek do dzieł sztuki wkładają wiele potrzeb umysłu i serca, czyż nie zdają sobie sprawy, że prawdziwie osobistego związania z książkami nie można uregulować i uporządkować żadnym schematem i raz na zawsze? Komu spokoj i niepokój twórczości są rzeczywiście potrzebne — ten wie, że doświadczenia odbiorcy sztuki kształtują się wraz z całym naszym życiem i tak jak ono narażone bywają na tysiąc sprzecznych doznań zamkniętych pomiędzy chwilami szczęścia i zwątpienia.

We wczesnej młodości pożerałem książki akurat tak samo jak młodociana autorka powierzonych mi listu: „przelatywałem“ przez literaturę, ba! harcowałem wśród arcydzieł i makulatury, jak oszalała pszczoła, czytałem na oślep, na wdech, na wyzucie, na wszystkie cnoty i niedorzeczności kilkunastolatka. A przecież za żadne skarby nie oddałbym zysków i strat wyniesionych z tych czasów. Więcej: serce mi się ścisnęło, gdy widzę wielu młodych mniemających, że zamiast tracić czas na poszukiwania — rozsądniej jest i praktyczniej otwierać po prostu usta, by przyjmować gotowy pokarm.

Myślę, że bez owych pierwszych samodzielnych młodzieńczych doświadczeń, z samej swojej natury chaotycznych i niecierpliwych, nie może się w człowieku rzetelnie ukształtować głębszy stosunek do literatury, do książek wybieranych i kochanych w różnych okresach życia. A przecież z tych właśnie miłości, jak w ogóle z wszelkich wielkich uczuć, spływa na nasze życie blask mądrości, choć nie łatwego i rzadko trwałego piękna. Mam już poza sobą dość znaczne obszary lat — nie wiem: na szczęście czy nieszczęcie! — a jednak nawet wówczas, gdy sięgam po wspomnienia bardzo odległe, jak np. owe wiosenne popołudnia spędzane w ubogim podwarszawskim ogródku nad „Lordem Jimem“ — serce zaczyna mi i dzisiaj żywiej bić, ponieważ można odejść od swoich miłości, lecz nie podobna zapomnieć, że się kochało. I dla odmiany: jeszcze dzisiaj stygną mi skronie na wspomnienie szczególnie ciężkich miesięcy, kiedy to wszystko się i we mnie i dookoła mnie poczęło walić w gruzy: przeszłość, chwila obecna, jutro. Cóż wówczas znaczyły książki, nawet te — wczoraj najbliższe? Nie wiedziałem co ze sobą zrobić: jak żyć, jak myśleć, jak — bez nadziei, z samą tylko rozpaczą — przetrwać najbliższy dzień, najbliższą godzinę. Wszystko czego się tknąłem, obracało się przeciw mnie. Wszystko mi zadawało ból, jakbym był jedną wielką, otwartą raną. Nie, nie umiałem wtedy powtórzyć za poetą: „Pociecho moja, ty książeczko...“ Owszem, szukałem ratunku i w książkach, lecz żadna nie mogła mi być pomocna. Ponieważ śmierć gorsza od prawdziwej wypełniała mnie aż po oddech. A człowiek, taką śmiercią zżerany — śpiąc i głuchnie jak spróchniały pień. Dlatego też — nie obciążając rzecz w tego świata własną klęską — i takie oto cierpkie wspomnienia wcale mnie nie osłabiały w przeświadczeniu, że wśród losów ludzkich trwale istnieją niezniszczalne i pomocne człowiekowi sily poznania i piękna, iakkolwiek nie zawsze jesteśmy zdolni korzystać z ich żywego technika. Dużo by jednak o tym mówić, pijąc razem nadzieję i gorzyc.

Tak więc, młoda uczennico XI kl., streszczając się: nie dam Ci dla Twoich lektur żadnych wskazówek. Radź sobie sama. Szukaj, błądź, ciesz się, a jeśli zażdzie potrzeba, także się trochę pomęcz. Wszystko jest przed Tobą. Nie rezygnuj. Z czego? Ależ oczywiście: z siebie nie rezygnuj!

Jerzy Andrzejewski

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

Z OKIEN ROSTA

CZERWONA I CZARNA



IWANOW — TO NIERÓB!

IWANOW—TO BOHATER PRACY!

1. Jeśliś ty na tej tablicy
2. Lepiej nie żyj po próżnicy.

3. A jeśliś na czerwonej —
4. Chodź jak słońce rozpromieniony,

MICKIEWICZ WSPÓŁCZESNY

Gdy największy poeta polski kończył jako wygnaniec i działacz polityczny swój tragiczny żywot, nad jego krajem rodzinnym, na Białorusi i na większości ziem polskich, panował ucisk narodowy i społeczny. Mickiewicz nie doczekał się zwycięstwa swojej walki poetyckiej. Umarł w wieku kęśki. Od tego czasu sto lat burzliwej historii, jakie przeżywały nad Europą, zmieniło, zburzyło do szczytu dawny obraz społeczeństwa. Dwie formacje społeczne dzieli nas od tego obrazu, który przedstawił Mickiewicz w „Panu Tadeuszu”. Znikł pan feudalny; późne zdobycze rewolucji burżuazijnej przekwitły i przeginęły pod koniec XIX wieku; o o dzięki rewolucji proletariackiej kształtuje się w oczyszczonej Mickiewicza nowa socjalistyczna epoka — a sioła Mickiewicza oddalone od nas tyu przemianami społecznymi od chwili gdy powstało, mówi do nas z taką siłą i dobitną bezpośredniością, jak gdyby było wymówione dzisiaj. Więcej! Poezja Mickiewicza jest dziś z pewnością bardziej zrozumiała i bliska niż była przed wiekiem. Jest również tak aktualna, jak była aktualna wtedy, a po wieloletniej próbie trwałości i bezustannej aktualności mamy pewność, że będzie wiecznie żywa i ustawicznie współczesna.

Jaka przyczyna tej wiecznej młodości, dlaczego słowo Mickiewicza mówi dziś do nas z taką bezpośredniością, z jaką nie mówi żadne d z i s i e j s z e słowo poetyckie? Czy tylko dlatego, że to jest słowo naczelne poezji polskiej, poezja genialna? Ależ chodzi o jej bezpośredniość, dzisiejszą, żywość, o te właściwości, które może posiadać tylko słowo współczesne. A język Mickiewicza jest już przecież nieco omszały przeszłością starością słów. Źródła tej wieczystej aktualności Mickiewicza biją nie tylko z głębin historycznego zrozumienia losu narodu polskiego w pierwszej połowie XIX wieku, a więc w okresie antyfeudalnych rewolucji narodowościowych. Czy Mickiewicz jest dziś żywy i będzie wiecznie żywy dlatego, że idee swojego czasu tak wzmacnił i przez to tak poszerzył swoją poezją, iż przestał być prawdami jednego tylko okresu i stały się obrazami najsłabszych i najskrajniejszych natur ludzkich; że są wizerunkiem wiecznie młodej ludzkości, która w dążeniach swoich póty nie spocznie, aż spełni się czas, gdy w szczęściu wszystkiego będą wszystkich cele?

Powiedziałem: wzmacnił i poszerzył postepowe idee swojego czasu. Nie jest to określenie zadowalające. Co to znaczy, „jak to uczynił”? Czy znaczy to, że je, wielkimi w obrazach poetyckich, uogólnił, że je uczynił zastosowanymi i dzisiaj i jutro? Sądzę, że takie wyjaśnienie nie wystarczy. Należałoby raczej powiedzieć, że je mocą swojej poezji u w i e r z y t e l n i ł, zmusił mocą swojej poezji do wiary w ich szczególną żywotność i przez to obdarował wieczystą młodością. Prawdziwe dzieło sztuki jest wieloznaczne i sens jego nie da się wyczerpać w jednej formule ideologicznej. Żywe dzieła sztuki pisze się nie abstrakcyjnymi ideami, ale żywymi prawdami, prawdami jeszcze nie ujętymi w formuły, prawdami nie tyle nawet szczegółowymi, ile szczególnymi, i tak trudnymi do odkrycia i ostrymi, jak igła znaleziona w gęstej trawie zdarzeń. Aby więc wyczerpać znaczenie wielkiej poezji, nie wystarczy przymierzyć jej wymowę ideową do dążeń politycznych i społecznych, wśród których się ta poezja rodziła. Nie wystarczy sens jej objaśnić tłem historycznym, na którym się rozwijała. Nie znaczy to, że czynić tego nie należy; przeciwnie, dla zrozumienia poezji Mickiewicza nigdy dość wiele historycy literatury nie uczynią objaśniając jej genezę ideami i wypadkami polityczno-społecznymi tamtego czasu. Ale pamiętać przy tym ciągle należy, że jest to za ledwie drobna cząstka prawdy o znaczeniu dzieła poety, i jeśli tę cząstkę bierze się za całość, uważając ją za absolutną wiedzę o znaczeniu dzieła Mickiewicza, to ulega się złudzeniu, iż dłoń można wyczerpać morze.

Byłoby więc naiwnym zuchwalstwem, gdybym w tym krótkim artykule i ja zabrał się do eksploracji morza, gdybym w jednej lub kilku formułach chciał zamknąć znaczenie ideowe i artystyczne dzieła Poety. Nie wierzę w takie pseudonaukowe syntezę w historii literatury i krytyce literackiej, jeśli ta historia i krytyka literacka zajmuje się prawdziwą poezją, to znaczy w i e l k ą poezją.

Rybak ledwie u brzegów
nawiedza dno morza;
Myśliwiec krąży koło puszczy
litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu, ich
postać, ich lice,
Lecz obce mu ich wnętrza serca
tajemnicze:

Długo będziemy jeszcze krążyć koło puszczy litewskich łoża, zanim poznamy — jeśli to w ogóle możliwe — wszystkie wewnętrzne tajemnice tej poezji. Przecież cały wiek wiedzy polonistycznej o największym z naszych poetów nie przyniósł poważniejszych pracy o jego poezji jako poezji, o jego sztuce poetyckiej, dzięki której zwyciężają, słownikiowe słowa języka polskiego nabierają w ustach Mickie-

wicza mocy gromów i tklivości słowiczej. Aby pojąć w pełni rozumem i odczuć całym sercem poezję Mickiewicza, trzeba rozumu i serca niejednego człowieka, ale rozumu i serc całego narodu. Poezja jego sprawdza się i urzeczywistnia swoją siłę moralną w życiu coraz szerszych warstw społeczeństwa, z pokolenia na pokolenie, aż wreszcie ogarnęła masy. I dlatego to ta poezja staje się, i jest poezją narodową. Ona jedna przemawia do każdego Polaka i do ucznionego i do proslaczka, każdemu wypienia serce i rozum na najpełniejszą na jaką go stać miare.

Ta jej przystępność dla każdego umiającego czytać po polsku, ta jej ludowość, stwierdzana mogła być tylko częściowo przez pięć pokoleń Polaków. Stała się oczywiście w Polsce Ludowej, w której milionowe nakłady dzieł poety już nie błądzą pod strzechy, ale przez sieć bibliotek docierają planowo pod dachówki nowej wsi polskiej i wznoszonych miast socjalistycznych. Tworzący nowe życie lud polski przyjmuje pisma poety wieszczącego przed stu laty jego wyzwolenie, oczami po raz pierwszy w całości otwartymi na słowo pisane. Dopiero w Polsce Ludowej wyzwolony lud, robotnik i chłop, spełnia marzenie twórcy „Pana Tadeusza”.

Wystąpienie poetyckie Mickiewicza było aktem rewolucyjnym. Mickiewicz wystąpił w imię ludu. Swoją działalność poetycką rozpoczął dla wyjawienia i w obronie prawd, które kryje w sobie lud. Przełom artystyczny i ideowy jakiego dokonał pierwszymi swoimi tomami poezji, Balladami i Dziadów Częścią II, miał za muzeu bezimienną twórczość chłopską. Z tej twórczości czerpał „prawdy moralne gminnym sposobem zmysłowie przedstawiane”. Była to rewolucja nie tylko przeciw uczonnej poezji pseudoklasykcznej, panującej podówczas w Polsce, rewolucja nie tylko przeciw polerowanemu, umownemu językowi dworu, ale i przeciwko wszelkiej umowności, przeciw ugodowości wyższych warstw szlacheckiego społeczeństwa. Był to przełom ideowy, który przeżył najpierw poeta sam w sobie.

Jakże naiwni byli ci komentatorzy, którzy ten przełom tłumaczyli takimi terminami jak racjonalizm i irracjonalizm. Tłumacz Woltera i wyznawca filozofii Oświecenia osiągnął w pseudoklasykcznej sztuce poetyckiej sprawność godną Trembeckiego. „Zima-miejska”, pierwszy utwór, który uznał za godny druku, świadczy, że doszedł w wyszukanym stylu pełnym peryfraz i metonimi do doskonałości. A oto zerwał z nim i wystąpił w obronie fantastycznych wierzeń chłopskich i ludowej prostoty wyślowienia. „Czucie i wiara silniej mówią do mnie, niż mędrca skielko i oko”. To i temu podobne wyznania, zawarte w pierwszych dwu tomach Poezji Mickiewicza, były umyślnie

Mój wiersz przez natłok lat
przećisnie się z trudnością,
wychynie ciężko, szorstko-widomy,
Jako do naszych dni dociera wodociąg
wzniesiony jeszcze pracą niewolników Romy.
(„Pełnym głosem”, 1930, przekład A. Wazyka)

Jeszcze przed ćwierćwieczem trudno było sobie wyobrazić, że umiłowanie Majakowskiego stanie się uczuciem tak powszechnym, tak trwałym, tak naturalnym u człowieka radzieckiego, niezależnie od jego wieku i zawodu. Majakowski napisał cztery poematy o miłości. Napisał poemat o rewolucji i poemat o Leninie. Napisał wielką ilość wierszy biczujących przetrzki starego świata w świadomości i w życiu nowych ludzi. Jego poezja nie ma sobie równej pod względem różnorodności form i tonów. Wszystkie odcienie miłości i tklivości, gniewu, nienawiści i pogardy, humoru i spokojnego wywodu, wszystkie tonacje przekonywania, sporów, dowodzeń, negacji — oto różnorodność jego poezji. Wiersze Majakowskiego powtarza górnik rąbiący węgiel i chłopak na ugorach, wśród szumiącej pszenicy pierwszego plonu, wspomina je człowiek w smutnej godzinie niepowodzeń, i rozradowany osiągnięciem sukcesem, i zakochani w chwilach wyznań. Okazało się, że to poeta, który pisał dla wszystkich i dla każdego z osobna, pisał właśnie to, czego każdy dla siebie szuka w poezji.

Sam Majakowski sądził za życia — i to sprawiło mu ból największy — że nie jest lubiany, że nie jest potrzebny. Stąd tak częste są w jego wierszach dowodzenia i zapewnienia, że on, poeta, jest ludzdom przydatny, że i wiersze mogą przysłużyć się sprawie tak poważnej, jak rewolucja. Że:

Jam także fabryka,
a jeśli bez kominów,
to, być może,

jaskrawą manifestacją przekonania, że tylko myśli, które przyjmie lud, godne są poezji i życia. Inne prawdy są martwe, książkowe, bo oderwane od ludowego doświadczenia. Wyzywająca forma wyznań programowej „Romantyczności” nie powinna nikogo mylić. Dalsza twórczość, twórczość dojrzalego Mickiewicza, rozwinęła i wyjaśniła tę podstawową, ideę motoryczną jego poetyckiej działalności. Odezwie się ona we wszystkich większych utworach poety, w „Konradzie Wallenrodzie”, w „Ustępie Dziadów Części III”, w „Panu Tadeuszu”. To w „Panu Tadeuszu” ukazuje na koniec karykaturę oderwanego od życia teoretyzowania w postaci niewczesnej elokwencji człowieka tylko książki, Buchmana.

Skazany na pobyt w Rosji rozszerzył Mickiewicz ogromnie horyzonty tej romantyczności, którą z taką świadomością przesadną naiwnością ograniczał do „wieści gminnej”, to jest do baśni chłopskiej. Wygnaniec — okazał się turystą, wyszedł z zaścianka. Zetknawszy się z rosyjskim ruchem literackim, mającym żywsze niż kraj kontakty z romantyzmem zachodnio-europejskim, nadał swojej wierze w lud i swojej poetyce ludowej prostoty stylu tę głębię ideową i tę trafność poetyckiego wyrazu, która nas uderza w „Pieśni Wajdeloty”. W „Konradzie Wallenrodzie” postawił poeta z n a k r ó w n o s c i m i e d z y s ł o w e m l u d i n a r ó d o. Na kilkadziesiąt lat przed wyzwoleniem z pańszczyznianej niewoli podniósł lud do godności jedynego przedstawiciela narodu. Wszakże „Konrad Wallenrod” jest tylko n a r z e d z i e m o l i l u d u u o s o b i o n y m w W a j d e l o c i e. I wśród wielu możliwych interpretacji tego poematu — a żadna z nich nie wyczerpie wieloznacznego sensu tego dzieła — ta jest mi najbliższa. Takie rozumienie poematu znajduje potwierdzenie w dalszej twórczości Mickiewicza.

To od napisania „Konrada Wallenroda” Mickiewicza, poeta i u d o w o s c i o w y c h Ballad i Dziadów Części II, staje się poeta l u d o w y m, a więc n a r o d o w y m. W Rosji wystrzył narzędzia poetyckie uprawiając różnorodne gatunki poetyckie, osiągnął mistrzostwo wielorakiego stylu. Ale osiągnąwszy szczyty stylu artystycznego w „Sonetach Krymskich”, zwrócił się równocześnie w Elegiach do mowy mówionej, do języka prostoty i bezpośrodkowego wyznania, który objawił na początku swojej drogi poetyckiej. Te dwie sprzeczne na pozór dążności swego artysty zjednoczył i połączył harmonijnie w „Dziadach” dresedńskich i w „Panu Tadeuszu”. Podobnie jak już w „Konradzie Wallenrodzie” utożsamiał lud z narodem a wieść gminną z poezją narodową, uczynił z mowy codziennej, prostej, wysłuchanej z tysiąca ust współwspolietników, język najwyższego artystyzmu w poezji polskiej. I gdy obejrzał się po ukończeniu

„Pana Tadeusza” na dokonane dzieło, przyrównał w epilogu te pieśni proste — do pieśni ludowej.

Żył wiarą w lud, przekonaniem, że tylko myśli i uczucia, które służą ludowi, są godne tej poezji, którą nazwano wieszczą, narodową. I ta wiara, to przekonanie uczyniło go n i e o m y l n y m w poezji. Mógł się Mickiewicz mylić w sądach publicystycznych i w działalności politycznej — wielką omyłką jego życia była współpraca z Towiańskim — ale nigdy nie mylił się w poezji. Poezja genialna jest nieomylna. To nieprawda, jak niekiedy jeszcze pouczają naszą młodzież nauczyciele zachęcani przez podręczniki, że w którymś z poematów Mickiewicz „nie potrafił jeszcze” na coś odpowiedzieć lub „rozwiązać zagadnienia”. Nie pouczajmy poety genialnego, nie zawstydzajmy go przed dziećmi łatwą mądrością po stu latach uchwałami historyków speryodyzowanej historii. Nie zachęcajmy młodzieży, żeby traktowała genialną poezję jak ozdobniejszą publicystykę. Wymowy ideologicznej dzieł genialnych nie sprowadzajmy do formułek z historii prądów polityczno-społecznych. Poetów i artystów należy oceniać nie według teorii estetycznych i politycznych, które wyznają i głoszą, ale według ich dzieł artystycznych, to znaczy według siły i trwałości oddziaływania tych dzieł na społeczeństwo. A nie ma poety, który by głębiej niż Mickiewicz wrył się w serca i wyobraźnię Polaków, nie ma poety, który by piękniej i wzniolej przemieniał dusze ludzkie niż autor „Dziadów” i „Pana Tadeusza”.

Mickiewicz w dojrzałej swojej poezji ma zawsze rację, nie myli się nigdy. Jeśli na przykład w wierszu do Adama Grzymały zjadliwie drwi z mowy Adama Kępowskiego, rewolucyjnego demokraty, tego, który później związał się z socjalistycznym Ludem Polskim w Londynie, to widocznie w opisanym mowie tego polityka dostrzegł jakiś fałsz, niewczesną pretensję czy demagogię. Nie byliśmy na tej dyskusji i czemu mamy wierzyć, jak nie wierzyć Mickiewicz! Trzeba wierzyć poezji wielkiego poety nawet wtedy, gdy zawiera ona wierzchu sądy pozornie sprzeczne z potoczną prawdą. Prawdy w poezji trzeba szukać nie po wierzchu, lecz w głębi. Chcę rzec: w tym jej działaniu na nas, które karmi nie tylko naszą myśl, ale porusza naszą uczuciowość i wolę, przeraża całą naszą istotę moralną.

Napisałem kiedyś, że sens moralny „Pana Tadeusza” leży głębiej niż ten, który usłoważyli określić dotychczasowe interpretacje poematu. Dodam dziś — i ta, która

być tak groźne, że muzom poleca się zamiknąć.

Majakowski stworzył poezję, która jak gdyby obdarzona nieograniczoną władzą utracała się do wszystkiego. Do wewnętrznego nieładu jednostki i do spraw, które się rozstrzygały za okrągłymi stołami międzynarodowych konferencji. Jego poezja dyskutowała z wieżą Eiffla i z robotnikami budującymi fabryki na Syberii. Zarzucało wtedy Majakowskiemu „jednoznaczność”, efemeryczność jego wierszy, związanych z poszczególnymi wydarzeniami, ułożono tym wierszom krótki żywot. Stało się jednak inaczej. Tak zwane „jednoznaczkowiki” okazały się zadziwiającą żywotną, przeżyły mnóstwo wierszy i poematów napisanych przez jego współczesnych, a obliczonych na wieczność. Wiersze Majakowskiego, choć tak mocno związane z wydarzeniami tamtego czasu, są świeże i aktualne i po ćwierćwieczu. Majakowski wiedział widocznie, co w wydarzeniach jego czasów jest typowe dla całej epoki, i znajdował słowa, których działanie obliczone było — jak mówił w „Rozmowie z inspektorem podatkowym” — na tysiąc lat. Pisał na wyrost.

Majakowski rozbudził w poetach radzieckich pragnienie, aby być niezbędnym, ambicję rzeczywistej, sprawdzalnej przydatności ludziom. W ZSRR najsurowszy, być może, osąd — to powiedzieć o wierszach, że są niepotrzebne, że można by się było bez nich obejść. I na odwrót — stwierdzenie „wiersze w tej chwili bardzo potrzebne” — to bodaj największa pchwała, jakiej może otrzymać poeta radziecki. Nie należy jednak rozumieć owego „potrzebne” jako „doraźnie użyteczne”, choć i to, co doraźnie użyteczne, może być poetyckie, jeżeli zostało podtykowane wewnętrzną koniecznością. Nie należy rozumieć owego „potrzebne” jako „zamówione”, „wymagane przez odbiorcę”, ponieważ to „potrzebne” zazwyczaj bywa nieoczekiwane, zjawia się nagle i znieścacka okazuje



Mickiewicz. Rysunek I. Schmellera 1829 r.

upatruje w „Panu Tadeuszu” epopeję przemian narodu szlacheckiego w burżuazynę. Wartość wychowawczą „Pana Tadeusza” leży głębiej niż np. tylko nakaz walki o wolność, propaganda uwłaszczenia chłopów itp., bo te oczywiste rzeczy głosiła cała postępową poezja polska. Wartość wychowawczą „Pana Tadeusza”, jak każdego wielkiego dzieła, jest trwalsza, wynika pośrednio z materii wyobraźniowej poematu. Dzieło to daje niebywały rozmach naszej fantazji, u-sposabia nas do bujnego i pełnego życia umysłu i serca, i przez dalsze pośrednie ognia oddziaływania duchowego uczy nas — nie uczę — w p r a w i a nas w dzielność. Oto ten trudny do opisanie sens poematu, ta siła, która przeraża całą naszą istotę.

Również znaczenie drugiego arcydzieła Mickiewicza, Dziadów Części III, nie da się ująć w żaden schemat wydedukowany z historii ideologii polityczno-społecznych tamtego czasu. Jest to poemat, który będzie aktualny aż po czasy, kiedy zniknie z oblicza ziemi niesprawiedliwość i ucisk. Dziadów Część III jest jak potężny pocisk, jak ciagle czynna bomba zegarowa, jak wieczny zamach przeciw

się właśnie owym potrzebnym ludzkości objawieniem poezji. Tak poeta, który napisał tragiczny poemat o stracie ukochanej, zaczyna otrzymywać setki listów od ludzi, którym ten poemat dopomógł ukończyć własny ból. Poeta, który napisał fantastyczny wiersz o ukraińskim chłopie, śpiewającym o dalekiej Grenadzie, którą chce widzieć wolną — staje się dla ludzi radzieckich niezbędny, ponieważ stworzył dzieło, wyrażające ich światopogląd. Bez tego dzieła byłiby oni ubożsi. Wszystko, co najlepsze w poezji radzieckiej, nosi tę właśnie cechę społecznej niezbędności. I wszystko to pochodzi od Majakowskiego.

Oto już przez całe dziesięciolecie poezja uczestniczy w sprawach, które ongi rozstrzygane były bez jej udziału — przez dyplomatów lub przez armaty. Wpływ Majakowskiego na postępowych poetów świata widzę nie w tym, że podobni są oni doń w hyperbolicznym obrazowaniu, w manierze przemawiania jak gdyby z trybunu, itd. Jakże różnymi głosami przemawiają Aragon i Eluard, Neruda i Guillen, Hikmet i Nezval, jakże inne są ich głosy, niż głos Majakowskiego. Ale wszyscy oni znaleźli dla poezji sens istnienia, większy, niż miała kiedykolwiek przed tym. Wszyscy oni tworzą poezję potrzebną współczesnemu człowiekowi, idącemu w przyszłość, poezję nadziei, poezję aktywnego uczestniczenia we wszystkim, poezję miłości — dla jednych, i przekleństwa — dla drugich, poezję wskazującą, po której stronie stawać ma człowiek, i to wszystko pochodzi od Majakowskiego.

Umilowanie Majakowskiego jest nierozdzielnie związane z umilowaniem przez ludzi radzieckich tego nowego sposobu życia i myślenia, który został stworzony przez nowy ustrój. Kto ukołchał życie wolne od sobkostwa i egoizmu, kto widzi we współczesności rysy nowych stosunków między ludźmi i nowej świadomości — ten ukołcha Majakowskiego.

Siemion Kirsanow

krzywdzie narodowej i społecznej, przeciw poniżeniu człowieka przez człowieka, przeciw każdej tyranii w każdym czasie. Ten poemat, tak w chwili gdy powstał aktualny, tak bardzo narodowy, chciałoby się rzec lokalnie - narodowy, bo będący także jakby reportażem z autentycznym nazwiskami drobnych ofiar carskiej tyranii — ten poemat ma (chcienie międzynarodowe: jest i będzie aktualny dopóty, dopóki narody walczyć będą o wolność i braterstwo.

Cóż z tego, że Mickiewicz nie znalazł i nie szerzył hasła na przykład Gromady „Human” i „Grudziądz” i że jego „Skład zasad” Legionu włoskiego ogłoszony w tym samym roku, w którym ukazał się „Manifest Komunistyczny”, że ten „Skład zasad” nie jest radykalny, błady? Ale wymowa jego poezji nie ma sobie równej siły rewolucyjnej w całej literaturze polskiej, w literaturze nie tylko pięknej, ale w tym wszystkim co napisano po polsku. Gdyby nawet społeczne hasła rewolucjonistów z Gromady „Human” i „Grudziądz” były tak spopularyzowane, jak pieśń ludowa, działanie ich byłoby mniej rewolucyjne. I dlatego, że hasła te z biegiem czasu przebrzmiały, i dlatego, że wymowa ich, jak każdego sformułowania prozą, nie porusza bezpośrednio całej istoty człowieka. W poezji Mickiewicza nie brak hasel, których porównawczą moc jest niewyczerpana, choć zdań tych nie da się przypisać określone mu programowi politycznemu. Czyż może być bardziej lapidarne i bardziej buntownicze hasło niż to wiecznie żywe: „Gwałt niech się gwałtem odścisła”. Hasło tego samego autora, który w artykule publicystycznym pisał pod adresem utopistów: „Przyznajecie, że istnieją niewolnicy i ciemiężcy, ofiary i katy, a chciecie uszczęśliwić ludzkość przez wprowadzenie harmonii między dobrem i złem?”, ale który również w okresie towiańszczyzny godził się na niesprzeciwianie się czynom złu. Jak słabe jest przytoczone zdanie publicystyczne wobec zdania poetyckiego. A czyż znaleźć można w mowie polskiej piękniejszą formułę patriotyzmu niż ta, zawarta w zdaniu: „Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie”?

Alle wymowy dzieł naszego największego poety nie sprowadzajmy do hasel przez niego samego napisanych i najmocniej, bo mową poezji, wypowiedzianych. Każdy utwór Mickiewicza z okresu jego dojrzałości twórczej, najdrobniejsza nawet liryka, daleka — zdawać by się mogło — od uogólnienia społecznego, ma tę siłę, którą posiada prawdziwa poezja: uszlachetnia i umacnia w nas człowieczeństwo.

Jakże więc uczcić poetę w roku jemu poświęconym, w setną rocznicę jego zgonu? Jak to uczynić, ażeby istotna treść jego dzieła kształtowała dusze ludzkie? Wydawnictwami, jego życia i jego dziełu poświęconymi? Książkami o jego książkach? Zapewne. Tego burzliwego morza, którym jest jego poezja, nie wyczerpiemy i na szczęście nie uspokoiśmy nigdy. Ale przede wszystkim niech zamiast słów o poecie słyszalnymi się staną słowa samego poety. Niech przemówi samo jego dzieło, bo ono tylko może powiedzieć to wszystko „tego” nie wyczerpiemy nigdy „swymi słowami”. Niech zabrzmi jego słowo, niech rozlegnie się szeroko i donośnie to wiecznie żywe słowo, które karmiło pięć pokoleń patriotów i rewolucjonistów polskich. Najpiękniejsze i najmocniejsze słowo w naszej narodowej poezji.

Julian Przybós

SIEMION KIRSANOW Umilowany poeta

KORESPONDENCJA WŁASNA „NOWEJ KULTURY” Z MOSKWY

Mój wiersz przez natłok lat
przećisnie się z trudnością,
wychynie ciężko, szorstko-widomy,
Jako do naszych dni dociera wodociąg
wzniesiony jeszcze pracą niewolników Romy.
(„Pełnym głosem”, 1930, przekład A. Wazyka)

Lęk Majakowskiego przed tym, że jego poezja może „przejść bokiem, jak przechodzi ukośny deszcz” był próżny. Ale ten lęk, narastając, przekształcał się w otwartą ranę — każde jej nieostrożne dotknięcie powodowało dotkliwy ból. Dotykali tej rany ludzie nieczuli i zatwardziali w negacji nowego. Dziś, kiedy umiłowanie poety jest już tak wielkie, ludzie ci mogą się wydawać niezastępowalnymi na uwagę widzami. Ale wtedy mogli oni swoimi cieniami zaślaniać poezję Majakowskiego przed narodem, a w nim samym wywoływać męczące obawy i poczucie osamotnienia. Majakowski wypowiedział tym widomym walkę na śmierć i życie. W tej walce dobitniej i wyraźniej zarysowało się jego oblicze — oblicze poety nowej ludzkości, w której nikt nie będzie samotny, poety całkowicie zwróconego ku ludziom, ku społeczeństwu, ku przyszłości.

Wszystcy wiedzą, że spod plóra Majakowskiego wyszły genialne poematy o miłości. I ten sam Majakowski — dziwią się niektórzy — pisał hasła i wierszowane reklamy dla radzieckiego handlu, reklamy, którym błyskotliwego dowcipu nie przeczą nawet przeciwnicy takiej poezji użytkowej. Ale u poety, który dążył do tego, żeby być konkretnym, prozaicznie niezbędnym, jest to nie tylko zrozumiałe, ale i piękne. Poświęcić wiersze, mogące wyrażać wielkie, nieśmiertelne słowa wielkiej miłości, poświęcić takie wiersze sprawom powszednim, aby być sprawdzalnie potrzebnym, sprawdzalnie użytecznym — czyż nie jest to poetycki heroizm w codziennej rewolucyjnej walce? Przykład hasel — to tylko jedno z marginalnych jego wszechstronnej twórczości. Majakowski znalazł zastosowanie dla poezji wszędzie, we wszystkich dziedzinach życia, nawet w najpowszechniejszych i przyziemnych, także i tam, gdzie wydarzenia zdają się

być tak groźne, że muzom poleca się zamiknąć.

Majakowski stworzył poezję, która jak gdyby obdarzona nieograniczoną władzą utracała się do wszystkiego. Do wewnętrznego nieładu jednostki i do spraw, które się rozstrzygały za okrągłymi stołami międzynarodowych konferencji. Jego poezja dyskutowała z wieżą Eiffla i z robotnikami budującymi fabryki na Syberii. Zarzucało wtedy Majakowskiemu „jednoznaczność”, efemeryczność jego wierszy, związanych z poszczególnymi wydarzeniami, ułożono tym wierszom krótki żywot. Stało się jednak inaczej. Tak zwane „jednoznaczkowiki” okazały się zadziwiającą żywotną, przeżyły mnóstwo wierszy i poematów napisanych przez jego współczesnych, a obliczonych na wieczność. Wiersze Majakowskiego, choć tak mocno związane z wydarzeniami tamtego czasu, są świeże i aktualne i po ćwierćwieczu. Majakowski wiedział widocznie, co w wydarzeniach jego czasów jest typowe dla całej epoki, i znajdował słowa, których działanie obliczone było — jak mówił w „Rozmowie z inspektorem podatkowym” — na tysiąc lat. Pisał na wyrost.

Majakowski rozbudził w poetach radzieckich pragnienie, aby być niezbędnym, ambicję rzeczywistej, sprawdzalnej przydatności ludziom. W ZSRR najsurowszy, być może, osąd — to powiedzieć o wierszach, że są niepotrzebne, że można by się było bez nich obejść. I na odwrót — stwierdzenie „wiersze w tej chwili bardzo potrzebne” — to bodaj największa pchwała, jakiej może otrzymać poeta radziecki. Nie należy jednak rozumieć owego „potrzebne” jako „doraźnie użyteczne”, choć i to, co doraźnie użyteczne, może być poetyckie, jeżeli zostało podtykowane wewnętrzną koniecznością. Nie należy rozumieć owego „potrzebne” jako „zamówione”, „wymagane przez odbiorcę”, ponieważ to „potrzebne” zazwyczaj bywa nieoczekiwane, zjawia się nagle i znieścacka okazuje

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

Stare — nie przestarzałe...

WALCZĄC O CZYTELNIKA

Pierwsi czytelnicy Puszkina mówili:

„Tęgo Puszkina nie można czytać, szczęki bolą!”

Słowa o dzisiejszym powszechnym rozumieniu Puszkina, to chwyt polemiczny, zwrócony przeciwko nam. To, niestety, komplement nie potrzebny ani Puszkiniowi, ani nam. „Jeżeli jesteście zrozumieli, to gdzież wasze nakłady?”

„Fytanie o ilość sprzedanych naszych książek, to pytanie o możliwości nabywcze tych grup, na które książka jest obliczona.

Nasz czytelnik to wuzowska młodzież, komsomolcy ze wsi i z fabryk, korespondent robotniczy i początkujący pisarz, z natury swojej pracy zobowiązany do śledzenia działalności naszych rozlicznych ugrupowań kulturalnych.

To czytelnik o najmniejszych możliwościach nabywczych.

Otrzymałem niedawno list od pewnego wuzowca z Nowoczerkasska. W przesyłce była koperta, sklejona ze starego „Lefu” i otrzymana jako dodatek do kiszonych ogórków.

Wuzowiec pisał: „Od dwu lat marzyłem o zaprenumerowaniu „Lefu”. Cena jednak jest zbyt wysoka. Wreszcie otrzymałem darmo”.

Oto dlaczego nie cieszymy się z nakładów dwurublowych tomów...

Chwilowe wyjście to zakupy bibliotek.

Ale i tu konieczny jest zorganizowany rozdział książek przez odpowiednie organa, rozumiejące, jaka książka jest potrzebna.

„Ale dlaczego nie czytają was w bibliotekach?”

„Zaczyna was kupować, jeśli powołanie masowy popyt”.

Tak mówią bibliotekarze.

W Leningradzie, w klubie zakładów Putilowskich czytałem swoje „Dobrze”. Po recytacji — dyskusja.

Jedna z bibliotekarek radośnie krzyczy z miejsca, zaspokajając wasną nienawiść do naszej literatury:

„Aha! Aha! A was nikt nie czyta, nikt nie pyta o wasze książki! O! O!”.

Odpowiada jej melancholijny bas z drugiego rzędu:

„Gdybyś kupowała, tobyśmy czytali”.

„Bibliotekarz powinien być agitator — propagandzistą komunistycznej, rewolucyjnej, potrzebnej książki.

Bibliotekarkę — agitatora spotkałem kiedyś w Baku. Korzystający z biblioteki zdecydowanie odmawiali czytania moich książek. Bibliotekarka zrobiła z różnych wierszy październikowy montaż literacki i przygotowała go z czytelnikami nieomal przy użyciu sity.

Kiedy się wczytał, zaczęli czytać z zadowoleniem. Po tej lekturze zaczęli unikać elementarzystych wierszyków.

„Czytanie rzeczy trudnych — mówiła bibliotekarka — nie tylko dawało zadowolenie, ale podnosiło ich poziom kulturalny”.

„Smak odbiorcy (także i bibliotekarza) powinien być planowany...”

Recytowałem przed chłopami w Liwadyjskim Pałacu. Recytowałem w ciągu ostatniego miesiąca w bakińskich dokach, w bakińskich zakładach im. Szmidta, w klubie Szumjana, w klubie robotniczym w Tyflisie, recytowałem wyłazłszy na warsztat tokarski, w czasie przerwy obiadowej, pod zachichający warkot maszyn.

Przytoczę jedno z licznych zaświadczeń, otrzymanych od komitetów fabrycznych:

„Komitet fabryczny Zakaukaskich Zakładów Metalurgicznych im. Iejtanta Szmidta zaświadcza niniejszym, że tow. Majakowski Włodzimierz w dniu dzisiejszym wystąpił w hali przed audytorium robotniczym ze swoimi utworami.

Po ukończeniu recytacji tow. Majakowski zwrócił się do robotników z prośbą o wypowiedzenie swoich wrażeń i wypowiedzenie się, na temat stopnia zrozumienia czytanych utworów. Przeprowadzono głosowanie, które wykazało całkowite ich zrozumienie, ponieważ „za” głosowali wszyscy, prócz jednego, który stwierdził, że słuchając autora rozumie wiersze lepiej niż kiedy je czytał sam.

W spotkaniu udział wzięło 800 ludzi”.

Ten jeden — to buchalter.

Można by się było obejść i bez zaświadczeń, ale przecież biurokracja — to też literatura. I to o wiele bardziej upowszechniona od naszej.

1928

KRYTYKOWAĆ — ZNACZY POMAGAĆ

Towarzysze, wielu mówiło tutaj o tym, że nasza prasa jest nudna. I moje zdanie pokrywało się częściowo z tym twierdzeniem. Ale w pełni docenić można naszą prasę tylko po powrocie z zagranicy, po tym, jak się naczyta w Ameryce o wężowych jachach w Moskwie, o kosztownościach Vandebrltda, o złośliwości Chińczyków itd.

Kiedy wróciłem do kraju, kiedy przeczytałem rosyjski dziennik, poczułem się jak Sado na dnie morza, wołający w uniesieniu: „Gdybym się wydostał na ziemię i spotkał psa, to bym go całował i w morderę, i w oczy, i w łeb...” To należy wziąć pod uwagę, kiedy się



napada na naszą prasę. Chodzi nie o to, żeby na naszą prasę napuścić, ale o to, żeby pokazać, jak ją uzdrowić.

Moim zdaniem cała nuda naszej prasy wynika z tego, że prasa nie bierze pod uwagę całej złożoności zainteresowań mas czytelnich, że chce wiedzieć tylko o zainteresowaniach politycznych, i te zaspokaja nadzwyczaj dobrze, w 100 proc. Nie żądam wyrzucenia polityki i dawania lekkich felietonów z sypialni, ale trzeba korzystać z materiałów bibliograficznych i teatralnych, posługiwać się felietonem literackim, trzeba dawać nie tylko tytuły i hasła, ale wnioski dla czytelników. Sprawa naszych gazet, to w 60 proc. sprawa niedoświadczenia pisarzy, a w 40 proc. — niedoświadczenia redaktorów. Poza tym, w 90 wypadkach na 100, redaktor nie organizuje wokół siebie niczego prócz stałych etatów. To olbrzymie niedociągnięcie...

1925

POECI NA FRONT WALKI KLAS

Mówił tu tow. redaktor o najważniejszych zadaniach „Komsomolskiej Prawdy”, o wykonaniu planu finansowego w przemyśle, o znaczeniu brygad robotniczych dla sprawy budowania socjalizmu itd. Zaproszono tu dzisiaj sześciu poetów, a prócz Mołczanowa nie zjawił się nikt. Reszta siedzi w domu i czeka, kiedy nadejdzie chwila wyrażenia swoich osobistych przeżyć lirycznych.

W chwili obecnej, w porównaniu z minionymi latami, z minionymi miesiącami i tygodniami, przed Komsomolem — stają dziesiątki nowych problemów. No, powiedzmy, 25 tysięcy towarzyszy na froncie budownictwa kolchozowego — to jeden problem; inny problem — od szturmowych brygad do szturmowych oddziałów, od szturmowych oddziałów do szturmowych fabryk.

Następny problem — wzrost solidarności międzynarodowego proletariatu. Znamy przemówienia deputowanych czechosłowackich; znamy dzisiejsze przemówienie pośła do sejmu polskiego, który mówi o twierdzeniu, że faszystowski rząd, zawierając porozumienie z rządem niemieckim, przygotowuje napad na Związek Radziecki, itd., itd.

Widzimy dziesiątki pałaców i ważnych problemów dnia dzisiejszego. A gdzie jest poeta? Gdzie, do stu diabłów, podzieli się poeci? Nie ma ich w żadnej gawiedzi, nie ma ich i w „Komsomolskiej Prawdzie”. Musimy stwierdzić, że nasza literatura pogrążyła się w czystej wody estetyzmie. W poszukiwaniu samowyróżnienia, w poszukiwaniu lirycznych treści swojej własnej duszy, pisarz oderwał się od sprawy najważniejszych, przestał być aktywnym bojownikiem, aktywnym pracownikiem frontu naszego budownictwa socjalistycznego. (Oklaski).

Bardzo się cieszę, że komsomolcy, do których zwracam się przez cały czas, od pierwszych dni rewolucji, do których zwracałem się i przedtem, ilekroć mówiłem o młodych kadrach w jakiegokolwiek dziedzinie pracy kulturalnej, bardzo się cieszę, że komsomolskie zebranie przyznaje mi rację. Poglądy redakcji „Komsomolskiej Prawdy” na tę sprawę nie różnią się od moich poglądów. Ma rację tow. redaktor, kiedy mówi, że komsomolcy powinni być aktywnymi współpracownikami „Komsomolskiej Prawdy”. Co to znaczy — być aktywnym współpracownikiem „Komsomolskiej Prawdy”? To przede wszystkim znaczy, że trzeba wziąć pióro, i umieć nim, lepiej lub gorzej, stać się literat, umieć pisać.

1930

WSTRZYMAJMY SIĘ Z OSKARŻANIEM POETÓW

Poezja nie idzie.
— Poetów nie czyta.
— Poetów nie kupują.
— Wydawanie poezji nie opłaca się.

Powyższe prawdy uważane są za bezsporne. Objawiają je zgryźliwi wydawcy. Ze współczuciem potakują im redaktorzy. Beznadziejnie żalą się poeci.

Nie to, że nie idą złe wiersze, nie to, że nie są czytani początkujący poeci, nie to, że kupują niektórych, nie to, że ceny są zbyt wysokie — nie, cała poezja staje pod znakiem zapytania:

„Czy w ogóle potrzebny jest w naszych czasach ten sposób obróbki słowa?”

I, oczywiście, powoływano się na cyfry, na statystykę, na księgarskie sprawozdania.

Nie dowierzam statystykom. A zwłaszcza statystykom dotyczącym sztuki...

„Księgarz powinien w jeszcze większym stopniu wpływać na wybór kupującego.

Weszła komsomolka z mocnym postanowieniem kupienia, na przykład, Cwietajewej. Powiedzieć by jej, komsomolce, zdmuchując kurz z szarej okładki:

„Jeżeli, towarzyszek, interesuje was cygański liryzm, ośmielę się polecić wam Selwińskiego. Ten sam temat, ale jak opracowany! Zawsze to mężczyzna. Ale i to dobre najwyższe na chwilę. Po tej chwili wychnienia znów zacznie się rewolucyjna walka. W skali światowej! Szkoda więc, że przestaliście się interesować naszą waleczną armią, spróbujcie przeczytać tę oto książeczkę Asiejewa (styszeliście o niej, oczywiście?). Oto marsz! I okładka lepiej harmonizuje z kolorem waszej chusteczki.

Trzeba, by komsomolka wyprostowała się dumnie i, zadowolona, odeszła z Asiejewem. Już się poznali. Przedstawiliście go. A co będzie dalej, to już jego, Asiejewa, rzecz. Świństwa, oczywiście, żadna protekcja nie uratuje.

Cel tych moich rozważań — dodać otuchy poetom. Poeci wiele zawinił. Zupełnie dostatecznie oberwali za to od krytyków. Ale przemiany poetów mają znikomy wpływ na nakłady. Być może, przede wszystkim chodzi nie o poetów. Spróbujmy więc, zostawiając tymczasem poetów w spokoju, równie namiętnie natrzeć na księgarzy.

Towarzysze poeci, tymczasem pilnujcie sami, jak sprzedają wasze wiersze!

1928

TRUD POETY

Towarzysze, przewodniczący powiedział, że wygłoszę odczyt o swojej twórczości. To, co powiem, nie będzie odczytem, i nie wiem, czy można nazwać tak zaszczynie — twórczością — to, co zrobiłem. Nie o to chodzi, towarzysze. Po dwudziestu latach pracy bardzo łatwo zorganizować jubileusz, zgromadzić książki, wybrać brodatę prezydium, opowiedzieć kilku ludziom o swoich zasługach, poprosić dobrych znajomych, żeby więcej nie wymyślali w gazetach i napisali współczujący artykuł i popatrzeć, co z tego wyjdzie. Czy uznają, żeś zasłużony, czy może zdarzy się jeszcze coś innego, bliższego piarskiemu sercu. Nie o to chodzi, towarzysze. Chodzi o to, że stary czytelnik, stary słuchacz, który był w salonach, który przemawiał do przeróżnych pań i młodzieniaszków, ten czytelnik umarł raz na zawsze, i tylko robotnicze audytoria, tylko robotniczo-chłopskie masy, tylko ci, którzy dzisiaj budują nasze nowe życie, ci, którzy budują socjalizm i walczą o to, by zwyciężyć na całym świecie, tylko ci ludzie powinni być naszymi rzeczywistymi czytelnikami, a ja powinienem być poetą tych ludzi.

...Bardzo trudno jest prowadzić tę pracę, którą ja chcę prowadzić, pracę nad zbliżeniem do robotniczego audytoria wielkiej poezji, poezji, która byłaby zrobiona solidnie, bez tandety i bez znacznego pomniejszenia jej znaczenia.

„Widzę tu dwie trudności zasadnicze. Pisarze współcześni przyzwyczaili się pisać tym językiem, który stworzyła inteligencja, który oderwano od języka ulicy, od języka mas, i nazwano językiem literackim. To język, który był zamknięty w wąskim kręgu salonów i salonowych zainteresowań — miłością, wydarzeniami z ostatniego balu itd.

Z drugiej strony wciąż jeszcze niski poziom kulturalny, który podnosi się z dnia na dzień, który podnosi się szybko, ale jednak stale jeszcze nie jest wysoki. To częściowo przeszkadza poecie w znalezieniu wspólnego języka z najszerszymi masami odbiorców. Poeta często nie znajduje oddźwięku właśnie przez to, że czytelnik nie wie o czym mowa. Oto te dwie trudności — trudność rozumienia i trudność pisania tak, aby było zrozumiałe, bez upraszczania tematu — tym językiem, którym mówią masy. Oto zasadnicze trudności, które napotyka współczesny pisarz.

„Esteci wymyślają mi: „Pisaliście tak znakomite rzeczy jak „Obłok w spodniach”, a teraz — coś takiego!” Zawsze pisałem, że jest poezja inżynierska, uzbrojona w wysoką technikę, ale jest również poezja masowa, występująca do walki z innym orężem, z drugiej klasy robotniczej. Nigdy nie tworzyłem tandety, ale nigdy nie wymyślałem się od napisania jakiegokolwiek wiersza, na jakikolwiek temat współczesności, poczynając od wiersza o kulaku, a kończąc na wierszu o kocie i kocich futerkach z Gostorgu.

Napisałem wiersz o smoczkach — znakomitych smoczkach. Oburzano się na ten wiersz, a ja twierdzę, że jeżeli na wsi do tej pory dała dzieciom do ssania brudny galgan, to agitacja za smoczkami jest agitacją za kulturą...

„Poeta jest nie ten, który chodzi niestrzyżony, jak baran, i beczy na liryczne, miłosne tematy, ale ten, który w naszej zaciętej walce klasowej oddaje swoje pióro do arsenału proletariatu, który nie wzdrga się przed żadną czarną robotą, przed żadnym rewolucyjnym tematem...”

1930

Włodzimierz Majakowski

Wybrał do druku Grzegorz Lasota, przełożył Witold Dąbrowski

Ulewę
pytań zjadliwym

speszyc,
Kartkami
zaskoczyć mnie chce
audytoriaum.

(Przełożył Seweryn Pollak)

Sala Muzeum Politechnicznego obłożona. Kolejki zmiecione. Trzeszczą bariery. Tłok zrywa ze ścian afisze. Administrator mokry od potu... Jak łysa kukulka znika za zatrzaśniętym okienkiem. Milicja prosi, by opuszczono westybul...

Brzęczą natrętnie szyby, łkają sprężyny drzwi. Harmider... Nawet Majakowski nie może się przedostać na własny swój wieczór. Oblegający zatrzymują go jako zakładnika. Żądają okupu: pięćdziesiąt biletów wstępu... no, dwadzieścia — wtedy puszcza. Ale on już rozdał wczoraj, dzisiaj, w tej chwili dziesiątki biletów, wejściówek. Więcej nie ma. Zbiedniał.

Majakowski przedziera się do wejścia. Zaczyna przebiegać się jak taran, skręca, napiera niby uwięziony potężny łamacz lodów. Potem od razu swobodnie przechodzi przez całą stłoczoną ciżbę.

Sala pełna po brzegi. Ludzie siedzą w przejściach, na stopniach, na skraju estrady, jeden drugiemu na kolanach. Tylko w pierwszych rzędach świecą puste miejsca, zarezerwowane dla osób, które cieszą się specjalnym szacunkiem administracji i które lekceważąco się spóźniają.

Maly boczny pokój jest przeladowany Majakowskim. Zmieszany jego zamasyztyłymi krokami. Majakowskiemu jest za ciasno, kuli barczyste ramiona. W kacie ust tkwi papieros. Przygryziony jak wędzidło.

Po schodach wdziera się zgiełk obłożenia:

— Ma...

Ja...

kow...

ski!...

Każ

nas

wpu...

ści!!!

Władimir Władimirowicz mówi do mnie prawie z zażenowaniem:

— Bądźcie łaskawi zejść do administratora, ja się już po prostu kłepuję. A tam przyszli komsomolcy, członkowie kółek. Niech wpuszczą pięć osób, powiedzcie, że to ostatnie. No, dobrze, w sumie niech będzie osiem... słowem — dziesięć. I bicie się w piersi, wyrwyjcie sobie włosy, wyjmujcie serce, przysięgajcie, że to ostatnie. Administra-

tor uwierzy. Już dziewięć razy uwierzył...

Tymczasem krnąbrna sala tupie już z niecierpliwością.

I oto Majakowski wychodzi. Z jego ukazaniem się na estradzie spada w kotłinę sali wesoła, przyjazna chmara oklasków. Pociętowarzysz przyjaciele i współbojownicy.

Majakowski trzyma w jednej ręce teczkę, w drugiej — szklankę herbaty.

Kroki jego wstrząsają estradę. Przesuwa stół. Szarają krzesła. Układa rzędem książki, wiersze, kartki, zegarek. Głośno dzwoni w szklance łyżeczka. Majakowski powoli, metodycznie miesza herbatę. Już się zadowolił. I jego obejrzało, i on się rozejrzał. Z posępną ironią przygląda się pierwszemu rzędowi i podnosi głowę. Patrzy teraz w górę, na balkon. Niedopałek papierosa, mocno przygryziony, wciąż nie w sam kącik ust, porusza się nagle przy szerokim uśmiechu.

— Galeria! — rozlega się huczący bas Majakowskiego. — Studenci, tutaj!

I gestem, który jest tak przekonujący w swoim rozmachu i prostocie, zaprasza wesołą ludność galerii, by zajęła nietykalne pustki na parterze. Studenci tłumem wala na dół. Zmieniają zakłopotanych biletów.

— Mieszkańcy gór schodzą w dolinę — półgłosem mówi Majakowski.

Pięć minut gwaru, tupotu, wesołego przekomarzania, ścisłu i już od stóp Majakowskiego, od skraju estrady, stopnie, przejścia, schody, aż do przeciwległej ściany audytoria, wszystko szczerle zapelniają rozpalone głowy i jasne twarze młodzieży. I wielkie oczy Majakowskiego, z których bije zawzajem głęboki, mroczny i dumny blask, stają się cieplejsze. Odrzucawszy poly marynarki, wsuwa ręce za pas. Postawa niemal sportowa.

— Dzisiaj — zaczyna — będę...

Wymienia program wieczoru.

— Po referacie — przerwa: ja odpocznę, a publiczność będzie mogła wyrazić swoje zachwyt.

— A kiedy będą wiersze? — wdzięcząc się pyta jakaś dziewczyna.

— A chcecie, żeby przedzej zaczęło się to „interesujące”? — z takim samym sztucznym wdziękiem huczy Majakowski.

Pierwszy grzmot tłumionego śmiechu. Na razie wzbiera na sali skrywany zachwyt i oburzenie. Majakowski rozpoczyna swój referat.

Właściwie to nie jest referat, to błyskotliwa gawęda, przekonująca opowieść, płomienna mowa, bu-

Ledwo mnie

Kaukaz

zem Gruzin —

wyciągnął z miasta,

Elbrus.

wszystko mi przypomniało.

Kazbek.

I jakże was tam?

Hej,

spiętrząj

skaleń nad skałą!

Tu

na nie

powszednia odzież.

Włóczęga, —

archałuch nosze.

Już

pode mną

mknie inochodziec, —

taki,

że z Roylesem

w zawody by poszedł.

Pamiętam:

z hordą,

błyskając oczami,

nosaty,

ciemniejszy od brązu,

wdarłem się

przed dziewiętnastu wickami,

do dariałskiego wozu.

Gitarzysta,

leżący duszą i ciałem,

w pocie wiecznym

zimą i latem,

tę ziemię

przeszedłem

i zaorałem

stąd

aż po Batum.

Te sprawy

ktoż dziś pamięta?

Historia —

łgarz miodopłynny,

„Władycy Kaukazu — Tyflis” jest niejako poetyckim przekrojem historii Gruzji, gdzie urodził się Majakowski.

Objaśnienia niektórych imion i nazw gruzińskich: ARCHAŁUCH — kaftan mekski, SZOTA RUSPAWELI — narodowy poeta gruziński, żyjący na przełomie XII—XIII stulecia, TAMARA — królowa gruzińska, żyjąca w tym samym czasie, MCHOLOT SZEN ERTS etc. — słowa narodowej pieśni gruzińskiej: „Tobie, ojcze, wszystko, co dał mi Najwyższy”. ARSEN DZORDZIASZWILI — bohater zbrojnego powstania w Gruzji w r. 1905. ALICHA NOW AWARDKI — generał carski, przysiany w celu uśmierzenia powstania MADCZARI — winny meczet, KINTO — włóczęga i karyz byłolec winiarni ZIRNA — wschodni instrument dęty. SZAIRI — szesnastogłoskowy wiersz gruziński.

LEW KASSIL

Na mostku kapitańskim

rzliwy monolog. Niezwykle ciekawe informacje, fakty, szalone żądania, oburzenie, kurioza, aforyzmy, śmiałe twierdzenia, parodie, epigramaty, zjadliwe myśli i żarty, zdumiewające przykłady, zapalczywe napęści, ostre formuły. Na fryzury i lśniny rycerzy mieszczańskiej sztuki wała się zabójczo celne definicje, cięte dowcipy.

Majakowski rozmawia. Wielkogłowy, o szerokich ustach, przypominają chwilami uparcie wgrzyzający się w ziemię ekskawator.

Oto wyłapał jakiś cytat z banalnego artykułu krytyka i wyrzucił z szeroko otwartych ust — cytat przemknął nad głowami słuchaczy i spadł w kłab śmiechu, okrzyków i oklasków. Stenografistki raz po raz zapisują w stenogramie: „śmiech, oklaski”, „ogólny śmiech”, „burzliwe oklaski”.

Na stole gromadzą się kartki ze wszystkich stron sali. Urazeni hałasują. Inni psykają na nich. Urazeni obrażają się do reszty. „Na sali hałas” stwierdza stenogram.

— Nie dokazujcie — mówi Majakowski.

Nie potrzebuje wcale natężyć głosu — jego grzmiący bas z latwością panuje nad gwarem całej sali.

— Nie dokazujcie... Jak zacząłem mówić, to muszę dokończyć. Jeszcze się taki mocny nie urodził, który by mnie zawrzeszczał. Wy tam, w trzecim rzędzie, nie wymachujcie tak groźnie na wszystkie strony złotym zębem. Siadajcie! A wy odłóżcie teraz swoją gazetę albo wyjdźcie z sali: tu nie czytelnia, tu trzeba mnie słuchać, a nie czytać. Co?... Nie interesuje was? Macie tu trzyrublowkę zwrotu za bilet. Idźcie, ja was nie zatrzymuję... A wy tam też się przymknijcie. Coś się tak otwarli na rozciez? Przecież nie jesteście szafa.

Przechadza się po estradzie niby kapitan na swoim mostku, pewnie kierując rozmowę na wybrany kurs. Lekko, bez wysiłku rządzi salą.

Robi się gorąco. Majakowski zdejmuję marynarkę, składa ją starannie. Kładzie na stole. Podciąga spodnie.

— Ja tu pracuję. Gorąco mi. Mam prawo poprawić sobie warunki pracy? Z całą pewnością!

Pewna zgorzonna dama krzyczy niemal histerycznie:

— Majakowski, dlaczego wciąż podciągacie spodnie? Obrzydliwość bierze patrzeć!

— A jeśli mi opadną?... — pyta uprzejmie Majakowski.

Szybkie jak błyskawica odpowiedź godzą w tych, którzy próbują zaczepić poetę.

— Co?... No, wy towarzyszu, gdy oponujecie, to się wydaje, że oponecie jecie... A wy, jak widzę, nie rozumieście ani w ząb. Zebranie postanowiło uznać was za nieobecnego.

— Wasze żarty nie docierają do mego rozumienia — indyczy się nierozgarnięty.

— To pewnie jesteście żyrafa! — wykrzykuje Majakowski. — Botylko żyrafa może przemoczyć nogi w poniedziałek, a dopiero w sobotę poczuje katar.

Przeciwnicy pokornieją. Stenografistki stawiają zakreśasy oznaczające śmiech całej sali, oklaski.

Nagle zrywa się zuchwały młody człowiek bez znaków szczególnych.

— Majakowski! — krzyczy wyzywająco młodzieniec. — Czy macie nas wszystkich za idiotów?

— Cóż znowu! — dziwi się krótko Majakowski. — Dlaczego wszystkich? Na razie widzę przed sobą tylko jednego.

Osobnik w szyldkretowych okularach i oślniewającym krawacie wdrapuje się na estradę i zaczyna gorąco, bezapelacyjnie dowodzić, że „Majakowski to już trup, i nie ma czego spodziewać się po nim w poezji”.

Sala jest wzburzona. Mówca, nie zmieszany, w dalszym ciągu uśmierca Majakowskiego.

— Hm, dziwna rzecz — odzywa się nagle w zamyśleniu Majakowski: — ja jestem trup, a on cuchnie.

I z mówcą kłapa... Kiedy milknie śmiech, w jednym z kątów sali znowu zaczynają mamrotać niezadowoleni.

— Jeżeli nie przestaniecie hałasować — perswaduje Majakowski — będzie wam jeszcze gorzej — napuszczę na was poprzedniego mówcę.

Niziułki, gruby mężczyzna przepycha się i gramoli na estradę. Gromi Majakowskiego za manię wielkości:

— Zmuszony jestem przypomnieć towarzyszowi Majakowskiemu —

gorączkuje się mały jegomość — stara prawdę, którą znał jeszcze Napoleon: od wielkości do śmieszności jest tylko krok...

Majakowski, zmierzwszy odległość dzielącą go od gaduły, zgadza się nagle:

— Od wielkości do śmieszności jest tylko krok — po czym wskazuje na siebie i na malutkiego mówcę.

A sala boki zrywa ze śmiechu.

Rozpoczyna się, jak zwykle, rozmowa o klasykach, o krytycznym badaniu ich twórczości. Majakowski z szacunkiem odzywając się o Puszkynie, Lermontowie i Tolstoju mówi, że nowe czasy wymagają nowych metod literackich, nowego słownika poetyckiego. Jeszcze raz podkreśla, że Puszkina był największym poetą swojej epoki.

Jakiś krzykliwy oponent, który przez cały czas próbował kpić, wiercił się na miejscu i żądał głosu, nagle go otrzymuje. Ale jak się okazało „rozmyślił się, i zresztą w ogóle nie miał zamiaru”.

Majakowski oznajmia uroczyste:

— Z powodu wilgotnej pogody ognie sztuczne odwołuje się.

Malutka poetka o filigranowej figurce wchodzi na estradę i zaczyna z Majakowskim spór o pe-



wien skrytykowany przez niego wiersz.

Majakowski odpowiada jej bardzo cicho, prawie bezdźwięcznie poruszając wargami.

— Głośniej, nie słychać, głośniej! — wołają z sali.

— Boję się — mówi Majakowski zakrywając usta i oczami wskazując poetkę — boję się, że ją zdmuchnę...

Następnie Władimir Władimirowicz czyta swoje wiersze. I zwołeni, i przeciwnicy nieruchomią

w czujnej, pełnej napięcia ciszy. Cała sala od góry do dołu oddycha uległym zachwytem. Majakowski czyta mistrzowsko, z ogromną prostotą. Jego potężny głos brzmi dźwięcznie, rzecko, szczerze. Wypełnia szczerze wszystkie zakątki Muzeum. Wstrzymują oddech nawet bileterzy, którzy już wiele w swoim życiu słyszeli. Dyżurny milicjant i strażak stoją z na wpół otwartymi ustami. Słowo — takie ogromne i pojemne, że zda się — tylko patrzeć, a rozedrze kaci rozchylonych ust, słowo o, niezniszczalnej mocy, słowo prężne, pęczniące, ważkie, szorstkie, dostrzegalne, słowo radosne i zapalczywe, chropawe i cierpkie faluje w zniechęconym powietrzu sali:

I życie jest dobre,
i życie jest dobrze.

(Przełożył Artur Sandauer)

Huczy przejęta sala. Spadła już pierwsza gorączka zachwyty, lecz audytorium znowu klaszcze, ryczy, tupie.

Majakowski czyta dalej. Na sali znów jak makiem zasiał. Wtem, w drugim rzędzie hałaśliwie i ciężko wstaje otyły jegomość z wielką brodą. Stapa przez salę w stronę wyjścia. Szeroka, okazała broda leży na jego ogromnym brzuchu jak na tacy. Jegomość z niezamąconym spokojem stara się wydstać z psykających rzędów.

— A to co za nadržędną osobistość? — groźnie zapytuje Majakowski.

Ale tamten bez ceremonii, a jednocześnie ceremonialnie niesie swą brodę w kierunku drzwi. Nagle Majakowski mówi z absolutną powagą i pewnością, jak gdyby tonem usprawiedliwienia:

— Idzie się ogolić...

Sala pęka ze śmiechu. Brodac, zbity z pantatyku i oburzony, znikną za drzwiami. Teraz już nawet stenografistki odłożyły ołówki i także klaszczą. Strażak promienieje silnie od swego kasku. Bileterzy grzecznie zasłaniają dłonią rozciągnięte w uśmiechu usta.

Następnie Majakowski odpowiada na karteczki. Zagłębia rękę w wielkiej stercie kartek i udaje, że w nich szpera.

— Czytajcie wszystko po kolei, czego tam szukacie? — krzyczą na sal.

— Czego szukam? Pereł szukam w tej kupie...

Z okrutną, niewyczerpaną pomysłowością odpowiada Majakowski na uszczypliwe kartki przeciwników, na pytania ciekawskich filistrów i bileciki literackich panów.

„Majakowski, ile otrzymacie pieniędzy za dzisiejszy wieczór?”

— A co to was obchodzi? I tak się wam z tego nie dostanie ani kopiejka... Z nikim dzielić się nie mam zamiaru... No, co dalej...

„Jakie jest wasze prawdziwe nazwisko?”

Majakowski z tajemniczą miną nachyla się do sali.

„Powiedzieć? Puszkina!!!

„Czy, dajmy na to, w Meksyku może pojawić się drugi Majakowski?”

— Hm! Dlaczego nie? Pojadę tam jeszcze raz, może się ożenię... No i całkiem prawdopodobne, że pojawi się tam drugi Majakowski.

„Wasze wiersze są zbyt okolicznościowe. Umrą nazajutrz. A wy pójdziecie w zapomnienie. Nieśmiertelność nie będzie waszym udziałem...”

— Wstąpicie tu za tysiąc lat, wtedy pogadamy!

„Wasz ostatni utwór jest trochę za długi...”

— To go skróćcie. Na samych okrawkach zrobicie sobie nazwisko.

„Majakowski, dlaczego tak sami siebie wychwalacie?”

— Mój kolega z gimnazjum, Szekspir, zawsze doradzał: mów o sobie tylko jak najlepiej, a źle to już powiedzą o tobie przyjaciele.

— Mówiliście już to w Charkowie! — woła ktoś z parteru.

— No, widzicie — spokojnie odpiiera Majakowski — towarzysz potwierdza. A ja nawet nie wiedziałem, że tak wszędzie wódczycie się za mną.

Dalej przerzuca kartki.

„Jaki jest wasz stosunek do Bezymienskiego?”

— Bardzo dobry, tylko on niedawno napisał zły wiersz. Są tam u niego takie rymy: „ulotek — sierp i młotek”. Słuchajcie, Bezymienski, przeczytajcie, nie wstydzicie się.

Na sali posłusznie wstaje Bezymienski i czyta nieszczytny wiersz.

— No, proszę bardzo — mówi Majakowski. — Czy można tak pisać? A gdyby tam u was było na rymie „miecz”, to byście napisali: „sierp i młoteczek?”

„Majakowski, powiedzieliście, że od czasu do czasu musicie zmywać z siebie tradycje i przyzwyczajenia, które do was przylgnęły, zatem skoro potrzebujecie się myć, to znaczy, żeście brudni...”

— A wy się nie myjecie i dlatego wam się zdaje, że jesteście czysti?

„Majakowski, poproście tych na przód, żeby usiedli z boku, wcale was nie widać”

— To przewierćcie w nich dziurkę i patrzcie przez nią... Co to jest?... Aha, znajomy charakter pi-



Przerywniki W. Majakowskiego

sma. Nareszcie się was doczekałem. Oto jest długo oczekiwana kartka.

„Wasze wiersze są niezrozumiałe dla mas”.

— Więc znowu tu jesteście Doskonale! Chodźcie-no tutaj! Dawno już mam chęć natrzeć wam uszu. Dokuczyliscie mi.

A z krzesel:

— Czytaliśmy z kolegą wasze wiersze i nic a nic nie zrozumieliśmy.

— Trzeba mieć mądrych kolegów!

— Majakowski, wasze wiersze nie wzbudzają, nie grzeją, nie zarażają.

— Bo moje wiersze to nie morze, nie piec i nie duma.

— Majakowski, dlaczego nosicie pierścionek na palcu? Wcale wam nie do twarzy.

— Dlatego, że mi nie do twarzy, noszę go na palcu, a nie w nosie.

— Majakowski, uważacie się za poetę proletariackiego, za kolektywistę, a wszędzie piszecie — Ja, Ja, Ja.

— A jak sądzicie, czy Mikołaj Drugi był kolektywistą? Bo on zawsze pisał: my, Mikołaj Drugi... Nie w każdych okolicznościach można mówić: my. Jeżeli przypuścmy, że zanieście wyznawać miłość dziewczynie, to co będzie, gdy jej powiecie: „My was kochamy”? Zapyta przecież: „A ilu was jest?”

Ale najwięcej jest dotkniętych z powodu Puszkina. Na sali wstaje chudy mężczyzna w surducie, z bardzo surową miną, z wyglądu przypominający nauczyciela dawnego gimnazjum. Poprawia binokle i zaczyna besztuć Majakowskiego.

— Nie-e, taskawco, wybacście... — złości się. — Pozwoliłście sobie na piśmie twierdzić o Aleksandrze Siergiejewiczu Puszkynie coś absolutnie niedopuszczalnego. Wytlumaczcie się. No, proszę?

Władimir Władimirowicz szybko staje na baczność i recytuje jednym tchem, jak uczeń:

— Psz-praszam, psz-praszam, już nie będę!

— A mimo wszystko — woła ktoś — Puszkina jest lepszy od was.

— Aha — mówi Majakowski — to znaczy, że wolicie słuchać Puszkina. Doskonale... „Eugeniusz Oniegin”. Powieść wierszem. Rozdział pierwszy:

Mój zacny stryj dał znać o sobie,
Kiedy na dobre już zaniemógł...

(Przełożył Adam Ważyk)

I zaczyna z pamięci recytować „Eugeniusza Oniegina”. Wrecytował rozdział pierwszy, zaczyna drugi. Na sali chichoczą, śmieją się, podśkakują. Dopiero wtedy, gdy sala pada już ze zmęczenia, Majakowski przerywa:

— No, już mnie ubłagaliście. Zgoda. Wracamy do Majakowskiego...

I korzystając z ciszy, znowu poważnie i wytrwale walczy o swoją, polityczną poezję naszych dni.

— Kocham Puszkina! Na pewno kocham go więcej niż wy wszyscy. „Może ja jeden doprawdy żałuję”, że go dziś nie ma wśród żywych! Gdy mi już głos odmawia posłuszeństwa, gdy jestem wyczerpany do ostatnich granic, biorę do poduszki „Połtawę” lub „Jeźdźca miedzanego” — i rano wstaję cały jakby obmyty, ze świeżą krtanią... I mam ochotę pisać całkiem po nowemu. Rozumiecie? Po nowemu! Nie przepisywać, nie powtarzać cudzych słów. Odnosić wiersz, wyrwać słowa z korzeniami, podnieść poezję do poziomu naszych dni. A nasza epoka jest większa, znakovitsza od puszkowskiej. O to właśnie walczę!

Skończył się wieczór. Muzeum opustoszało. Jedziemy do domu.

Władimir Władimirowicz jest zmęczony. Pelen wrażeń i pełen karteek. Kartki sterczą mu ze wszystkich kieszeni.

— A jednak to męczące — mówi. — Jestem teraz jakby wypompowany, spodnie nie mają się na czym utrzymać. Ale ciekawe. Lubię to. Bar-dzo lubię takie rozmowy. Który to już rok, a publiczność wciąż się tłoczy — to znaczy, że mnie szanują te diabły. Ten rabakowiec na górze... W lot chwytą, aż dziwne. Przecież nie ma. Dobrze chłopa. A temu brodacowi dobrze dojechałem, co?...

Lew Kassil

Przełożyła Irena Piotrowska

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

Władykaukaz — Tyflis

bębni,
że były króliki, księżęta,
Herakliusze,
Dawidy,
Niny.
Nie obce mi
nawet
te mury oto.
W wleżycy
— właśnie tej —
zakamarkach
pamiętam, jak
z Rustawelim Szotą
— ze mną —
baraskkowała Tamarka.
A potem
toczyłem się
z chrzestem kości,
dopóki
Terek
mniej nie pochował.
Ale co tam!
To zwykły figlik miłosny!
Potrafiła i lepiej
poigrać królowa.
A potem
widziałem:
przez wyłot skał,
z tych oto
ścieżynek dzikich
ktoś,
z brzękiem,
na sakle siał
wojska o złotych naramiennikach.
Leniwo
z nizin
wspinając się wzwyż,
gitarą
otwieram pierś:
„Mcholot szen erts
rac, rom czertwis
moucja
maglidgan gmerts...”
I ranek wolności
wśród ros krwawych skrzienia
wyłania się
z dawnych dni mroku
I oto
rzucam już
ręką Arsena

bomby
5-go roku.
Były
paziami
książęce szczeniaki,
a ja —
ja codziennie
od nowa
liczę i liczę
wzrastające siliaki
po kańczugach
każdego Alichanowa.
I zawsze
to samo
ujrzycie stąd wy:
ci sami
wybrańcy się kręcą.
Jacyś tam ludzie,
mętniejsi od mątwy,
kłaniają się w pas
cudzoziemcom.
Ze dwadzieścia wieków
dźwigałem
niewoli
i nędzy
gruz ja,
zanim
pod bolszewickim sztandarem
wolna,
zmarłych powstała Gruzja.
Tak,
jam Gruzin,
lecz nie z tej nacji,
której
w wąwozach
nie dostrzegł świat.
Jam
równy innym —
towarzysz Federacji
nadchodzącego świata Rad.
Jeszcze
nie jeden dzień
spowina
luny
i krwi opary.
Fermentujemy, —
myśmy
jeszcze
nie wino,
myśmy dotychczas
tylko maderczar.

Wiem dobrze:
bzdurą jest eden i raj!
Lecz jeśli ten obraz
poetom świecił
to pewnie
Gruzję,
radosny kraj,
mieli na myśli poeci.
Niech samoloty
pomkną ku górze!
Jak kobieta,
najtkliwiej kochana —
jest mi nadzieja,
że „Tyflis”
ujrę
w znaku fabrycznym
na aeroplanach.
Jam Gruzin,
lecz nie kinto czupurny,
co chlaj
i ciosał na łbie twym kółki.
Czekam,
by syreny
ryknęły jak zurny
tam,
gdzie dotąd siedł kinto
z osiołkiem.
Drogi mi
piewów gruzińskich chór,
ale mi droższy
nad pieśni świr
i
nad dźwięki
wszystkich
gitar
i zurn —
dźwięków i wind szalri.
Buduj
na całą parę,
burz dalej:
dla budowy
jak nie burzyć oburącz?
Jeśli nawet
Kazbek przeszkodzi —
z walić!
I tak
go nie widać
za chmurą.

1924

Przełożył Anatol Stern

HENRYK BEREZA

W poszukiwaniu moralnych racji życia

(Dokończenie z poprzedniego numeru)

WŁODZIMIERZ
MAJAKOWSKI

Z reklam

SMOCZKI

Lepszych smoczków
nie zna świat:
Sam bym ssal je
do stu lat.

MAKARONY

Gdzie kupuje nawet fanfaron
najbardziej smaczny
makaron?

Jeśli chodzi
o mnie —
to tylko w MOSSELPROMIE.

Z rysunków



Henryk Berez

Wpisanej w roku 1943 przedmowie do „Nowel włoskich” Iwaszkiewicz zastrzegę się przed zarzutami odrywania się od rzeczywistości w opowiadaniach „o wiecznych pierwiastkach naszego bytu, z których wypływa nasze istotne człowieczeństwo”. „Miłość, przyjaźń, przynajmniej, ale od rozpacz i wątpliwości w człowieczeństwo. Pisarz, który wbrew własnej naturze posmakował i odrzucił Gide’a, nie wierzył w Bernanos’a, mógł jedynie puścić się drogą schodzącą przez Conrada. Bliki zawsze sercu i naturze Iwaszkiewicz’a Conrad stał się więc ostatnią, zresztą od samego początku kwestionowaną, nadzieją. Iwaszkiewicz dostrzegał tężową złudę idealnych uczuć i wiecznych wartości, cieszył się trochę jej pięknem i przyjrzywszy się baczniej odkrywał prawdziwy wygląd rzeczy. Conrad dawał takie zapomnienie, jakie daje bóg winnej latorośli Dionizos.

Wystarczyło zrezygnować z wiedzy o świecie wewnętrznym pana Kazimierza w opowiadaniu „Naukaczyciel” (rezygnację tę usprawiedliwia narracja z punktu widzenia młodego ucznia pana Kazimierza), by dostrzec wieczne cudo przyjaźni w uczuciach Felka. Iwaszkiewicz nie zapomni jednak o brutalnej prawdzie życia i nie oszczędzi Felkowi rozwiania złudzeń, ale tragiczną śmierć Felka w jego przynajmniej wypadku potwierdzi zasadę conradowskiego widzenia świata. Miłość usunie wszelkie konflikty filozoficzne, wątpliwości i niepokój Edmunda („Anna Grazi” w tomie „Dwa opowiadania” 1938); autor „Nowej miłości” przypadkową śmiercią Anny przed jednak ratować bohatera przed nieuniknionym stwierdzeniem pozorności tego leku na konflikty życia. Przypadek ratuje conradowski, tragiczny profil bohatera i conradowska treść pojęcia miłości. W „Nowelach włoskich” w niewiele wypadkach, i to drogą karkołomnych zabiegów artystycznych, da się utrzymać conradowskie widzenie świata.

Może sobie narrator „Kronek weneckich” stroić grymasy tragiczne i dumać wzniośle nad znikomością rzeczy ludzkich, dowiedziawszy się o śmierci przyjaciela Stasia, poety, który niewiele jeszcze w życiu dokonał — czytelnik „Brzeziny” pamięta, co autor wie na ten temat. Można w życiu Manefy Witalewiny („Voci di Roma”) widzieć po conradowsku tragizm losu ludzkiego — nawet czytelnik „Zenobii Palmury” i powieści „Księżyc wschodzi” mógłby się domyśleć, że wykrzyć by się tu dało odrobnie zwykłej sprawiedliwości. Nawiasem mówiąc „Voci di Roma” są jedynym w swoim rodzaju wyrazem zgody na rewolucję. Narrator wykazuje pełne zrozumienie i współczucie dla subiektywnie niewinnych ofiar rewolucji, uznapając jej nieodwracalność przez przywrócenie pretensji wydziedziczonych do głosów upadłego Rzymu, do własnej tęsknoty za utraconym dzieciństwem. W opowiadaniach „Kongres we Florencji” i „Hotel Minerwa” przygoda i idealna miłość stają się jedynie drobnymi epizodami w normalnym biegu życia, w „Straconej nocy” autor z dobroduszną ironią potraktuje świat pięknych uczuć młodego chłopca. W świetle tych uwag „Powrót Prozerpiny” nabiera specjalnego znaczenia. Rozmowa narratora z panią Cannot wyraża świadomy rozróżenie z złudzeniami conradyzmu. Przy stwierdzeniu „nieodwołalności wszystkiego co nam ofiarowuje przemijający czas: miłości, przyjaźni, przynajmniej — ważne jest jedynie prawdziwe codzienne życie wśród swoich, w pracy i cierpieniu. W następnych utworach podejmie Iwaszkiewicz świadomą polemikę z conradyzmem na innej, głębszej płaszczyźnie. Polemikę taką zawierać będą „Bitwa na równinie Sedgemoor” (1942) i „Matka Joanna od Aniołów” (1943).

Fikcyjny świat wartości absolutnych, wiecznych i niezależnych od czasu i przestrzeni kreował Iwaszkiewicz od początku bez conradowskiej wiary w jego istnienie. Czas okrucieństwa i nierozumu szczegółów nie sprzyjał trwałości wszelkich złud. Życiem można było płacić zarówno za prawdę jak za złudzenia. Wyrosłe z okupacyjnych doświadczeń opowiadania Iwaszkiewicz’a nie wyrażają filozofii daremnych działań, nie ma w nich wątpienia w sens historii, jest natomiast przerażająca analiza ceny złudzeń.

Absolutne wątpliwości w sens historii implikuje Iwaszkiewiczowi Wykła w uwagach o „Bitwie na równinie Sedgemoor”: „Powieść prosto: nie znam w naszym piśmiennictwie, nie umiem wskazać również u obcych utworu, w którym wątpliwość w sens historii przybrałaby tak tragiczny i tak niepokojący wyraz” („Pogranicze powieści” s. 293). Ważyk swoją tezę o Iwaszkiewiczowskiej filozofii daremnych działań opiera przede wszystkim na analizie tego samego opowiadania. Są to wnioski sformułowane na wyrost i trochę na chybił trafił,

Ani „Bitwa na równinie Sedgemoor”, ani żaden inny utwór Iwaszkiewicz’a nie świadczą o wątpliwości w sens historii. Filozoficzne wątpliwości Iwaszkiewicz’a wypływały zawsze ze świadomości zagubienia jednostki w całokształcie potężnych i niepojętych procesów życia. W „Bitwie na równinie Sedgemoor” sens historii nie jest także kwestionowany. Konflikty historii rozwiązały się przecież szczęśliwie. Wraz ze zwycięstwem Wilhelma O’rańskiego przyjęła się idea tolerancji, zniknął więc sam przedmiot konfliktu, zatriumfował postęp. Bieg dziejów nie zależy jednak od indywidualnego bohaterstwa, jednostka nie decyduje o procesach historycznych. Wiedział już o tym Henryk Sandomierski. „A mnie się zdaje — powiedział Henryk — że kto rzadzi, choćby nawet był cesarzem Barbarossą, temu tylko wydaje się, że rzadzi. Wynosi go rzeka wielka, jak powódź pnie wynosi” („Czerwone tarcze” 1949 s. 372). Zwycięstwo armii Fevershama nie mogło zależeć od przypadkowego czynu samotnej dziewczyny. Także klęska Monmouth’a była spowodowana nie daremnością wszelkiego działania, tylko przedwczesnością jego wystąpienia. „W trzy lata potem wypędzono króla Jakuba: mógł być wówczas powroć do Anglii w orszaku Wilhelma III, który go tak lubił” („Opowiadania” Tom II s. 150). Z analizy opowiadania wynikałoby więc, że działania nie liczące się z rzeczywistością, nie wypływające z dojrzałej konieczności historycznej jest mimo wzniosłości intencji tragiczne niepotrzebne. Pisarz nie rozumie mechanizmu procesów historycznych, ale nie wątpi o istnieniu rzeczywistej prawidłowości biegu dziejów.

O wiele głębszym nieporozumieniem jest sprowadzanie sensu „Matki Joanny od Aniołów” do filozofii daremnych działań. Ważyk popiera taką interpretację argumentem bezskuteczności poświęcenia się ojca Suryna, który nie zdołał uchronić matki Joanny od opętania. Argument to bez wartości. Czyn ojca Suryna musiał pozostać daremny, bo w opowiadaniu nie chodzi wcale o uznanie prawdziwości spirytualizmu, bo ojciec Suryń jest nowym don Kichotem. Nurt polemiki z conradowskim heroizmem dla heroizmu jest w tym opowiadaniu najwyraźniejszy i najgłębszy. Ojciec Suryń jest ofiarą idei, która jest fałszywa i której ponadto nikt nie traktuje serio. Nie tylko sceptyczny i znużony królewicz, przykrywając nogi pachową pieczyką, bawi się mrocznymi krew w żyłach egzorcyzmami. Parobek Kaziuk tak jak wszyscy przedstawiciele ludu ma o diablach trzeźwy sąd: „Takich prostych ludzi jak my to diabły się nie imają”. Proboszcz Brym widzi jasno interes kościoła, którym się kierują egzorcysty, sami egzorcysty i matka Joanna kpią z ojca Suryna w żywe oczy, wszyscy zgola widzą w opętaniu ludzkości zakkonnie obłudę, niewyżyste namiętności seksualne i własne korzyści materialne i ksiądz Suryń prowadzi swoją tragiczną walkę ze złem, nie znając jego rzeczywistych źródeł. Wykła trafnie uznał scenę, gdy ksiądz Suryń owładnięty ideą przejęcia na siebie zła gniebiącego ukochną popelnia koszmarną w swojej niepojętości zbrodnię, za jedną z najbardziej wstrząsających kart w literaturze polskiej. W „Matce Joannie od Aniołów” dostrzegł Iwaszkiewicz jedyne prawdziwe źródło wszelkiego tragizmu: nieznajomość prawdy czyli nieznajomość rzeczywistych motywów i skutków ludzkiego działania. Tragizm człowieka, nie mogącego mimo rozpaczyliwych usiłowań zrozumieć istotnych przyczyn zła i cierpienia (wstrząsająca rozmowa ojca Suryna z rebem Ise) i z najsłabszymi podtekstami popęduk popelniającego zbrodnię, nie był niestety koszmarnym płodem wyobraźni pisarza. W postaci ojca Suryna skupił Iwaszkiewicz jak w soczewce cierpienia wszystkich swoich bohaterów, dręczonych daremnymi poszukiwaniami prawdy o istocie i celu ludzkiego życia i umiściwszy go w naturalnym, to znaczy społecznym otoczeniu, domyślił się charakteru jego dolegliwości. Ojciec Suryń prawdy szukał tam gdzie jej nie ma i nie może być. Prawda tkwi w samym życiu i posiadanie jej nie jest przywilejem najsłabszych. Jedynym kryterium prawdy jest obiektywna, to znaczy społeczna wartość ludzkich czynów.

Znalezienie tego kryterium nie pozostało bez konsekwencji w twórczości pisarza. Przesłanki, które gromadził autor „Pasji błędnierskiej”, „Kongresu we Florencji”, „Powrotu Prozerpiny” i „Straconej nocy”, złożyły się na wnioski zawarte w „Matce Joannie od Aniołów”, „Stara cegielnia” (1943) jest już dramatem obiektywnych działań, nie tragedią subiektywnych myśli i uczuć. Najczulszy krytyk nie dopatrzy się filozofii daremnych działań w opowiadaniu o pruszkowskim andrusie zdobywającym się na bohaterstwo w konkretnej potrzebie i dla zadośćuczynienia poczuciu własnej przewiny. Wacek nie mógłby rozstrzygnąć losów bitwy, dla uratowania życia dwójki ludzi przydało się jego poświęcenie. Nie jest nawet ważne to, czy uratowany konspirator był rzeczywistym bohaterem.

Znalezienie kryteriów prawdy umożliwiło Iwaszkiewiczowi rozstrzy-

gnięcie tak skomplikowanego problemu moralnego jak czyn młynarza Durczoka („Młyn nad Lutynią” 1945), który za zdradę narodową powiesił własnego wnuka. Jak gdyby dla skomentowania tragedii ojca Suryna autor każe wątpić o czyściwości subiektywnych intencji młynarza. Durczok nie lubił wnuka także dlatego, że podejrzewał na podstawie podobieństwa chłopca do starego dziedzica wioski, iż zmarła matka chłopca była owocem zdrady jego żony. Zamykającym opowiadanie stwierdzeniem Durczoka: „Jak Pan Bóg zaś nie wymierza sprawiedliwości, to człowiek sam ją sobie musi wymierzyć” — uznaje pisarz obiektywną słusność okrutnego jak życie wojenne czynu starego młynarza.

W powojennej twórczości Iwaszkiewicz’a nie wykryjemy tak znamiennej dla jego dawnych utworów nieokreśloności, względności lub wręcz fałszywości podstaw wartościowania moralnego. Konflikty nowych bohaterów Iwaszkiewicz’a wynikają z trudności sprostanienia obiektywnym normom moralnym, nie z daremnością poszukiwania ich. Stefa („Młyn nad Kamionną” 1950) nie wytrzymała ciężkiej próby moralnej w czasie okupacji i musi się ugiąć przed żywiołami konsekwencji swego zalamania, proboszcz z Kamionny nie zdoła rozstrzygnąć sprzeczności między sumieniem a obowiązkiem swego stanu. Mikłuch — Makłaj („Opowiadanie z krainy Papuasów”) nie ma obiektywnych możliwości zapobieżenia złu, aczkolwiek dla uniknięcia klęski zbiorowej godzi się niemal na zabicie przyjaciela. Stary Friedenssohn wie, jak ciężka jest droga do prawdy, tej „najlepszej ojczyzny”.

Posiadłszy tajemnicę wykrywania prawdy o ludzkich czynach, manifestuje Iwaszkiewicz z pewnym upodobaniem zdobytą wiedzę, nie przyjmując nic na wiarę i niechętnie stawiając hipotezy. Autor „Ucieczki Felka Okonia” (1953) i „Opowieści zasłyszanych” (1954) chętnie dowodzi prawd, których dowiedzieć można bez ryzyka pomyłki. Taka ostrożność budziłaby może niepokój u młodego tropiciela prawdy, Iwaszkiewiczowi z nią bardzo do twarzy. Dobrze przecie, gdy tęskniącym do łatwych laurów rewolucyjnych pisarz uzmysłowi niedostateczność realnych osiągnięć rewolucji w prowincjonalnym miasteczku („Świata małego miasta” 1947). Drobne złośliwości, których nie szczędzi przenikliwy obserwator życia, płyną przecie z serdecznej

troski o wspólne dobro. Analizując treść hasła, idei i programów pisarz nawet gorliwie głoszoną przez siebie ideę walki o pokój podda myśli badawczej i potwierdzenie jej wartości znajduje w zwierzeniach starego Żyda emigranta, dla którego wyświechtane u nas slogany mają realną i jakże doniosłą treść („Kwartet Mendelssohna” 1953). Przesłanki, które skłonią Felka Okonia do wyboru raczej więzienia u nas niż poniewierki u obcych, nie wystarczą do werbunku zaciągu pionierskiego, dobrze jednak, że Iwaszkiewicz wypowiedział je w sposób nie budzący wątpliwości ani jednego uczciwego człowieka w Polsce. Iwaszkiewicz’a zmęczyło także roztrząsanie grzechów i naprawdę bada on tylko wartość cnót. Gdy szacunek cnót okazuje się czymś przesadzonym, Iwaszkiewicz uśmiecha się wtedy dobroduszenie z ludzkiej słabości. Oto źródło dickensowskiego humoru „Opowieści zasłyszanych”.

Rozważne, pogodne i ufne „Opowieści zasłyszane”, które rzeczywistość nie mają nic wspólnego z Conradem (nawet tytuł przywłaszczył sobie Iwaszkiewicz nie od Conrada — jak sądzi w przedmowie — tylko od jego wydawców), prezentują wiernie postawę, którą sam Iwaszkiewicz żartobliwie nazwał „popuczykowską”.

Filuterne „Opowiadanie prowansalskie” przynosi przeciwstawną do „Matki Joanny od Aniołów” wersję bohatera, zwyciężającego wskutek obiektywnego biegu rzeczy bez subiektywnej zasługi. Zarówno ta komiczna jak tamta tragiczna wersja bohatera są ubocznymi produktami historii, która ma swoich bohaterów rzeczywistych. O nich jako o bezimiennych twórcach kultury mówił Iwaszkiewicz bezpośrednio w „Wycieczce do Sandomierza”, tej młodzieżowej powieści, której istotną treść rozumieć można tylko po przeżyciu wielu problemów pisarstwa Iwaszkiewicz’a. Pośrednio mówi o nich ta twórczość pisarza, w której ugruntowane zostały obiektywne kryteria oceny ludzkich myśli, dążeń i działań. Obiektywna prawda jest bowiem zawsze postępową i zawsze służy tylko twórcom historii. Liczył się z nią Mikłuch-Makłaj i dlatego działania jego w dorajnym efekcie nie były daremne, w ostatecznym rachunku nie były bezcelowe. Mają poczucie prawdy bohaterowie „Borsuka” i dlatego puszcza do nich Iwaszkiewicz perskie oko. Obiektywna prawda idei Darwina jest głębsza i płod-

LISTY DO POLIKARPA

JAN SPIEWAK

O POEZJI

Drogi Hipolicie Polikarpie! Bardzo się ucieszyłem, gdy po wielu latach znalazłem twój adres. Nie wiedziałem, gdzie żyjesz, jak ci się powodzi. A nagle okazuje się, że oddaleni jesteśmy od siebie za ledwie kilkoma godzinami jazdy osobowym pociągami. W okresie, gdy planuję się już na serio podroże na Marsa, jest to oczywiście odległość minimalna. Odnalazłem twój adres i czuję się tak jak gdybym odmiłdował co najmniej o dwadzieścia parę lat. Przypomniały mi się nasze spory, dyskusje, gdy byliśmy jeszcze młodzi, gdy chcieliśmy rozwiązywać niemalże natychmiast wszystkie najbardziej zawile sprawy. O, wtedy rozstrzygało się wszystko tak prosto, tak łatwo, bez żadnego trudu. Widocznie, drogi Hipolicie, mimo wszystkich postarzeliśmy się, bo teraz najblaszzy zdawałoby się problem sprawia na mnie wrażenie niebotycznej góry. Nie do poruszenia. A jednak, tak jak i przedtem, chciałoby się tyle rzeczy Ci opowiedzieć, zasięgnąć Twej rady.

Korzystam z pierwszej okazji i piszę do ciebie ten list. Nie gniewaj się, że jest zbyt osobisty. Listy do przyjaciela nie mogą być uczynnymi traktatami ani wyważonymi recenzjami, muszą być całkowicie szczere, inaczej korespondencja nasza nie miałaby żadnego sensu.

Może kiedyś napiszę o sobie, nie widzieliśmy się tyle lat i zapewne jesteś ciekaw, co robię. Odlotowy to na potem. Nie chcę też w tym liście nawiązywać do ostatnich naszych rozmów. Niedokończona rozmowa zawsze się jakoś rozwija. Powróć, wzbogacone nowymi doświadczeniami naszego życia, uboższe o minioną młodość, może bogatsze o przeżycia. Powróćmy jeszcze do nich wspominając starych znajomych, ulice, którymi chadzałem. Tak, warto chociaż w liście wspomnieć niejedną postać, dziś już zapomnianą albo gruntownie przerobioną przez krytyków.

Jak dawniej, param się pisanem wierszy, od czasu do czasu piszę recenzje, rzadko kiedy porzucam je na dłuższy artykuł. Tylko — tak samo jak dawniej lubię czytać. Chciałbym w listach

dzielić się z tobą wrażeniami z przeczytanych książek. Nie wiem, czy śledzisz uważnie pisma literackie, jeśli tak, to nie zdziwi cię, że właśnie z tobą chcę po mówić o tych wszystkich sprawach. Dyskusji literackich niestety nie mamy. Wybuchają one nagle i gasną od niechcenia. Zamiast dyskusji trafiają się wzajemne docinki, takie które w szkolnych czasach nazywalimy przygrzaniem albo podgrzaniem. Mało z nich pożytku, więcej niesmaku. Interesują mnie nadal przede wszystkim sprawy poezji i o nich, gdybyś chciał, chętniebym z tobą pogawędził.

Pamiętasz, nieraz mówiliśmy: poeci piszą, raz lepiej, raz gorzej, a o nich pisze się tak mało. Dlaczego tak jest? Drogi przyjacielu, nasze słowa wówczas były dziecinne. Niestety ostatnio o poezji pisze się jeszcze mniej. Gdy byłem początkującym autorem i wydałem w roku 1936 swój pierwszy tom wierszy, musiałem się zaabonować w biurze wycinków. Otrzymałem co najmniej trzydzieści parę recenzji i wznieklam, teraz przeciętnie poeta może się doczekać dwóch, trzech recenzji. Oczywiście — jeśli jest modny. Egzemplarze recenzyjne wysyłałem do prasy nie zobowiązując redaktorów nawet do krótkiutek wznieklam. Biedne, smutne, zapewne zakurzone i nieczytane książki drżymy w jakichś prywatnych bibliotekach. Wyobraź sobie, nawet pisma literackie nie raczą pisać o tomach poezji. Dlaczego, sam nie wiem. Może w odpowiedzi swojej Ty mi to jakoś wytłumaczysz.

Nie bywasz w Związku Literatów, nie widziałem Cię tam nigdy, nie mogłeś więc być na sekcji poezji, poświęconej planom wydawniczym. Jeśli dowiedziałeś się o tym że sprawozdania w „Nowej Kulturze”, rzecz jasna, że nic z tego nie zrozumiałeś, bo ja, który byłem na tym zebraniu, też nic z tego sprawozdania nie pojąłem. Wyobraź sobie zebranie, na które przyszli przedstawiciele wszystkich najważniejszych wydawnictw. Byli również przedstawiciele „Centralnego Urzędu Wydawnictw” i „Rady Czytelnictwa i Książki”. Nie było tylko przedstawicieli Domu Książki, chociaż zostali zaproszeni. Przedstawiciele wydawnictw bardzo roz-

sądnie przemawiali o swoich planach i budżetach. Mówili, że bardzo kochają poezję, ale równocześnie stwierdzali, że jest to towar deficytowy. Bardzo mnie przekonywały te ściśle wywody dyrektorów. Zaczęłem się nawet wzduszać. Niestety im bardziej wsłuchiwałem się w ich słowa, traciłem z oczu to co mnie najbardziej bolało i niepokoiło — poezję. I wtedy pomyślałem sobie: przecie w ten sposób można mówić o wszystkim, nie koniecznie o wierszach.

Drogi Hipolicie, jak widzisz, mimo że przybyło mi lat, pod tym względem mało się zmieniłem. W naiwności swojej marzę, aby w wydawnictwach o poezji myśleć bardziej ciepło i nie liczone się z tym, czy ten czy ów tomik jest „towarem deficytowym”. Pojmuję oczywiście, że sprawa jest skomplikowana i nie da się rozstrzygnąć na jednym zebraniu ani tym bardziej w jednym liście. Do tej sprawy trzeba będzie ciągle powracać. Nie myśl też, że pochopnie oskarżam wydawnictwa. Byłoby to dla nich wyrażna krzywda. Taki np. „Czytelnik” wydaje rokrocznie dziesiątki tomów wierszy współczesnych poetów i klasyków. A propos, czy widziałeś już piękne miniaturowe wydanie „Pana Tadeusza” opalone w skórę? Prawdziwe to cacko. Jeśli uda mi się kupić, prześlę ci na pewno.

Zebranie to było ciekawe a zarazem bardzo smutne. Mówiono nie bez racji, że kolportaż jest mechaniczny. Taki sam mniej więcej procent tomików posyła się do księgarni stołecznych jak do prowincjonalnych. Mówiono, że jeśli ktoś chce kupić jakąś zupełnie wyczerpaną książkę w Warszawie, to wcale nie trzeba się z tego powodu martwić. Wystarczy wsiąść do pociągu i pojechać do jakiegoś małego miasteczka. Na pewno znajdzie się tam odpowiednia ilość egzemplarzy. Przedstawiciel Rady Czytelnictwa i Kultury, dyrektor Dobrowolski, w bardzo interesującym przemówieniu mówił m. in. o fatalnym doborze książek w bibliotekach. Mówił o tym, przytaczając dane, że Ministerstwo Oświaty wcale nie interesuje się doбором książek poetekich w bibliotekach szkolnych. Wiele ciekawych rzeczy mówił dyrek-

tor Dobrowolski. Szkoda, że tego nie słyszałeś. Szkoda, że nie słyszeł tego przedstawiciel Ministerstwa Oświaty i Domu Książki. Może by się tak zapoznali ze stenogramami zebrania i wysnuli z tego konkretne wnioski!

W związku z tym zebraniem wynika jeszcze jedna delikatna sprawa, mianowicie sprawa przydziału papieru na wydawanie poezji. Oczywiście musimy odpowiednio gospodarować papierem. I to jest całkowicie słuszne. Rozumiemy, że muszą być przydziały papieru na każdy dział wydawniczy, rozumiemy nie od dziś zasadę planowania. A jednak są rzeczy, których nie mogę zrozumieć. Dla przykładu wymienię chociażby parę pozycji. Przykładów można znaleźć znacznie więcej. Pieśń Powsechna” Pablo Nerudy, utwór o światowej sławie, przekładany na dziesiątki języków, wydany u nas bardzo starannie, świetnie przetłumaczony, ukazał się w nakładzie 3000 egzemplarzy, znakomita antologia Tuwima „Księga wierszy polskich 19 wieku” ukazała się w nakładzie 5000 egzemplarzy, Stanisława Trembeckiego „Pisma wszystkie” w nakładzie 5000, a powiedzmy Kalendarz „Szpilek”, o ile wiem, w nakładzie 150.000 egzemplarzy. Zawała wszystkie kioski. Nie mam, jak wiesz, nic przeciwko wydawaniu kalendarzy, a niechże sobie wychodzą, tylko się zastanów: biorąc pod uwagę, że książki poetyckie są szczupłe a nakłady ich nie duże, można było wydać co najmniej 250 tomików poezji albo co najmniej 50 tomów prozy. Takie gospodarowanie papierem nie jest zresztą odosobnione, wymienię tu chociażby paradoksalną antologię „Starzy i młodzi”, która ukazała się w bardzo poważnym wydawnictwie. A równocześnie wyobraź sobie, że jedyny miesięcznik literacki „Twórczość”, który ma wszelkie szanse rozwoju, do którego piszą czołowi nasi pisarze, ma z czterdziestu tysięcy nakładów! I ani raz nie można wywalczyć większego.

Jak myślisz, kto się przysłużył tu naszej poezji? Proszę Cię odpisać na mój list. Ja ze swej strony solennie przyrzekam, że będę regularnie pisywał do Ciebie.

Pozdrawiam Cię serdecznie.
Jan Spiewak

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

W KINIE I GDZIE INDZIEJ

Jak to się w oczysypie piaskiem pewnym towarzyszom z CIKowskim znaczkami

I
Dwóch ze znaczkami
Kierują kroczki
Drzwi
portier - cherubin,
Milutki wyraz
zdjął
Ze niby:
Bo my przepustki
I zanim parę puścili z buzi,
z prawej
sekretarz
Ust nie zdążyli zamknąć,
niesie uchwałę
Ogonek?
Ogonek —
Mimo swej funkcji,
bez meldowania
Wracają.
każdy
I nawet
kotek,
włazłszy na teczkę,

podniósł
w ukłonie
Idą z uśmiechem,
— To nie urząd,
Wyszli.
— Hurra!
Nazajutrz
dwaj
Portier
— Tyż, hołota,
Drzwiami od tyłu
— Okaż przepustkę!
Ogonek?
Wiorstowy.
dom
Sekretarz urzędu,
gada
przez telefon
ze swoją lalą.

Wczorajsze dziewczę,
nos piegowaty
Pod drzwiami szefa
Syczy:
Siedzą biedni
aż o czwartej
Zamknął drzwi
— Przyjdźcie,
Nawet kotek
Chce pazurami
Obaj
wracają
— Tak zbiurokracieć
Przez szparę
półtora kalosza
na dwie osoby.
Bez wahania to sobie wymiarkuj:
by się nie paśli
albo
biurokratom
albo
po znaczkach
1927
Przełożył Seweryn Pollak

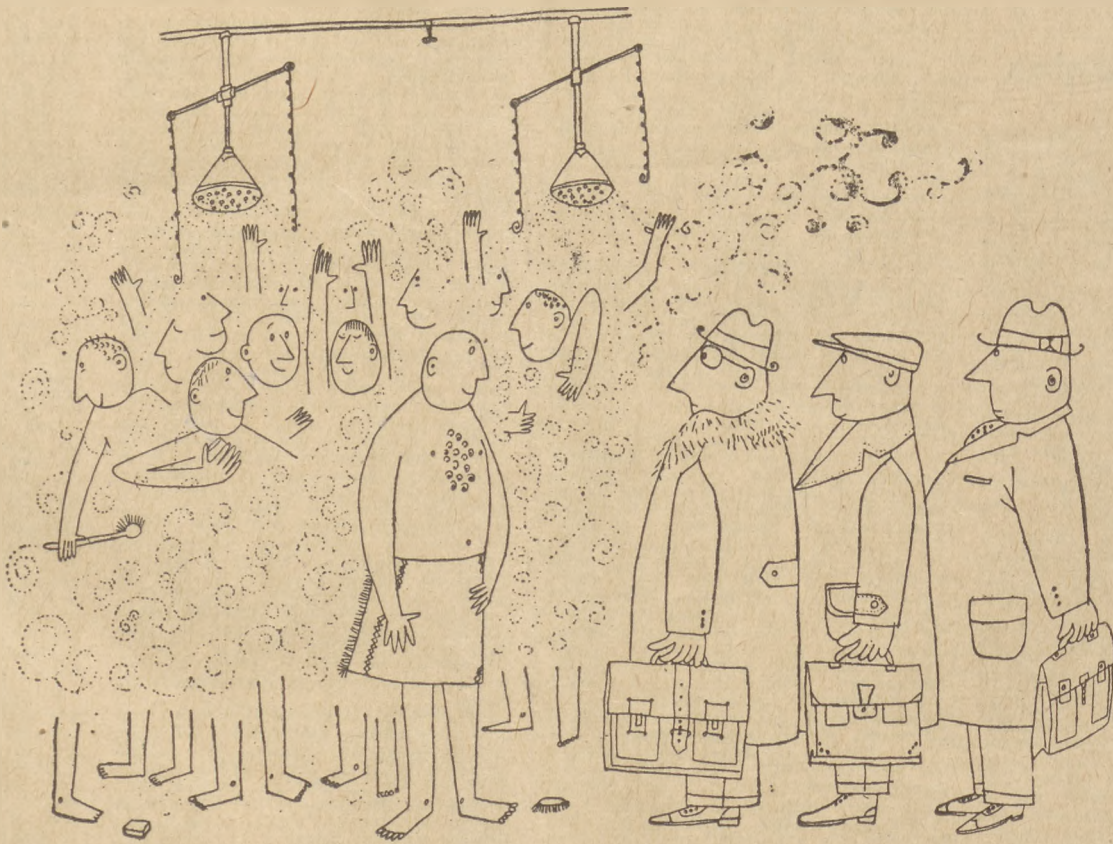
Ballada o biurokracie i korespondencie robotniczym

Balladę
Uwaga!
W pewnym
i korespondent był
Nietrudno
Ale to
Nasz korespondent zwał się
a biurokrata —
Nasz korespondent
Wciąż rośnie
A Waśkin...
Kogo źre?
Ten zużył
Ołówki
A Waśkin
Kogo źre?
Wykrzesał
każde
A Waśkin
Kogo źre?
Schudł
lecz depce
A Waśkin
Iżo źre?

Zmarł korespondent.
Już nawet go nikt nie pamięta.
A Waśkin
Kogo?
Innego korespondenta.
Aby pożytek
Po pierwsze —
krytyką
miażdżąc go
sprawiedliwą,

pomnij i bacz,
obfite
Po drugie —
za to,
pod kurtką
wymacaj mu żebra!
1928
Przełożył Leopold Lewin

Po przedstawieniu „Łaźni” Majakowskiego w Warszawie



— A panowie dyrektorzy się nie rozbierają?
— Nie. Myśmy przyszli się popatrzyć.

Rys. Lech Zahorski

Felieton rocznicowy

O Majakowskim — filmowcu z okazji rocznicy? Niedobrze jest pisać z okazji rocznicy. Niedobrze nie dlatego, że felieton nie znosi rocznicowej służby, ale dlatego, że wielcy nie znoszą rocznic. Zniekształcają się, rocznicowe wspominki coś zawsze wybrzuszają nadmiernie, co innego znów przeoczą, nawet niechcący. Zostaje bohater rocznicy spreparowany na okazję, o którym mówi się, że jest żywy, że wydobywa się zeń to, co żyje i rezonuje w nas do dziś. To na pewno jest prawda. Ale prawdą jest również, że za wydobycie owego żywego z historii jest zawsze jakieś przemijanie, przemijanie tego, co było temu człowiekowi konieczne, aby to co pozostaje żywe, w ogóle powstało. Przemijanie jakiegoś klimatu. Jakiejś cechy, jakichś składowych, które nie dla nas nie znaczą, a przecież były niezbędne dla spraw znaczących. Majakowski wspomina, że nieraz słowo, które było mu potrzebne wpadło mu do głowy, gdy już kładł się spać, i zapisywał je w ostatniej chwili przed snem na munsztuku papierosa. Rano budził się i nie mógł sobie przypomnieć, co znaczący wyraz zapisany na papierosie. Wyrzucał niedopałek, gdy nie mógł dojść jego znaczenia. Cóż nam po tych wyrzucanych munsztukach?

Nam jest potrzebny Majakowski żywy. Nie z rocznicy i nie z obrazka. Dlaczego właśnie taki? Dlatego, żeby zaświadczyć o walce pisarza, bezpartyjnego komunisty, o nową sztukę, a nie tylko o efektach tej walki.

Do efektów przyznaje się wielu, Majakowskiego z jego szczytowymi osiągnięciami adoptuje wielu, nie tylko z naszego obozu. Ulegali jego talentowi pisarze burżuazyjni, tamci strofy estety, cytują go „stusznicy”. Z walką Majakowskiego trudniej. Dla jednych trudno, bo była to walka komunisty przeciw temu, co tak mile pieści ucho — a więc nie tylko Molczanow (bo z tym się można koniec końców rozstać), ale i niektóre strofy Jesienina. Dla drugich trudno, bo było u tego Majakowskiego i ekstrawaganckie „ja” i żółta bluza futurystów i LEF. Dla jednych zaś i dla drugich pozostają ciągle te „munsztuki”, z którymi nie wiadomo co zrobić.

U Majakowskiego — filmowca było „munsztuków” niezwykle dużo. I jest chyba jasne, że jeśli działał — a działał na pewno na heroiczną, zdobywcą epokę filmu radzieckiego — to przede wszystkim jako poeta, nie jako filmowiec jedynie. Tak więc ważniejszym jest to, że, jak wspomina Wiktor Szkłowski, „Sierżoż Eisenstein przychodził do leków z coraz to nowymi pomysłami”, niż to, że Majakowski napisał czternaście scenariuszy, z których zrealizowano 6. Resztę odrzucono, częściowo „ze względów ideologicznych” odrzucono poecie, który w jednym z listów do kierownictwa ukraińskiej wytwórni filmowej szczególnie podkreślał, że przez dziesięć lat pracy literackiej radziecka cenzura nie skreśliła mu ani jednego wyrazu.

Majakowski był jednak również jako filmowiec nowatorem. Nowa-

torem nie tylko wtedy, gdy oburzał się, że na ekranach radzieckich panuje amerykańska szmira wespół ze „starzyzną starszą niż samo kino — Protozanowem”, podczas gdy „Pancernik Potiomkin” wyświetlany jest na drugorzędnych ekranach, a „Ugadku dynastii Romanowych” Estery Szub się nie docenia; i nie tylko wtedy, gdy wołał, aby wyrzucić na śmietnik melodramaty, zastępując je kroniką dnia powszedniego. Nie tylko jako działacz kinematografii.

Był nowatorem jako scenarzysta i współ-realizator filmowy. Miał on nawet w pracach nieudanych ważną cechę nowatora — ogromny zapal, pryncypialny kierunek, genialne niekiedy pomysły i dużą dozę naiwności. Brzmi to pewnie niejasno, ale takiego właśnie skłóconego wrażenia doznaje się nad lekturą scenariuszy Majakowskiego. Jeśli ułoży się je chronologicznie — z dziesięciu polityczną, współczesną, komunistyczną pasją agitatora. Jeśli śledzi ich losy — podziwem napawa niezrażony upór, z jakim wielki poeta dobijał się do drzwi małych urzędników, aby uwiaryścić powołaniem niespełnioną ale i niewygasającą miłość z kinem. Jeśli p. egdą się teksty jego prac — oszalamiają wielkie błyski filmowego widzenia, znakomite filmowe chwytły (drobna postać kobieca tuli się do ściany; ściana porusza się, oddala. To ogromny mąż.) pomieszczone z rzeczami, które mogą dziś już tylko rozczulać, jako wyraz kompletnego rozminięcia się z drogami nowego kina, w którym chciał uczestniczyć, ale którego nie mógł widocznie dokładnie odczytać ze słów młodego Eisensteina.

To może nie wypadła w felietonie rocznicowym, ale tak bardzo chce mi się zapytać: dlaczego u nas w sztuce tak mało jest szczerze naiwnych? Dlaczego tak mało spotyka się pomysłów, które mogą się jasno krawie i zdecydowanie rozminąć z przyszłością sztuki, a pochodzą stąd, że twórcy wydają się one kamieniem filozoficznym, jakimś ostatecznym słowem? Chyba dlatego samego, dlaczego brak takich pomysłów, które mogą zupełnie niespodziewanie tak bardzo utrafić w sedno sprawy, że ruszą ją z posad...

Majakowski wysoko cenił siebie. Wykrzykiwał o tym przynajmniej gromko, może dlatego zresztą, że wtedy nie urzędowano mu jeszcze rocznic, a na ostatni, dwudziesty jubileusz twórczości przyszło parę osób, grupka młodzieży i ani jeden pisarz. W filmie mało powiedzieć, że mówił o sobie — manifestował się, wrzeszczał.

Napisał o sobie trzy scenariusze, z których jeden, w roku 1913 ujrzał ekran zresztą skażony i — co stanowi zdarzenie nie lada — film został nakręcony bez wiedzy autora, na zasadzie zwykłej kradzieży pomysłu. Do ostatniego z tych autobiograficznych scenariuszy — „Jak się żyje” — Majakowski, jak twierdził, przywiązywał pryncypialne znaczenie, chciał bowiem przy pomocy tego scenariusza dokonać przełomu w kinematografii.

Przysyłają czasem do mnie scenariusze, żebym zaopiniował. — Przysyła się, nie wiem, co bym zrobił z tym „Jak się żyje”, takie to dziwne jakieś i ekscentryczne. I w ogóle dlaczego o sobie, i kogo to może obchodzić, a poza tym, co za pomysły, żeby pokazywać czytanie gazety w ten sposób, że z każdej szpalty wyskakuje człowieczek i opowiada jej treść?

„Munsztuk” do wyrzucenia? Może. Ale fakt pozostaje faktem, że dziś za ten film dalibyśmy miliony, a co ważniejsze, że gdyby tego scenariusza nie było, nie byłoby również — bo ja wiem? — wiersza „Do poetów proletariackich”?

Na dyskusji o „Łaźni” w Klubie I Typografii powiedziano Majakowskiemu, że „Łaźnia” jest lepsza od „Pluskwu”, którą napisał wcześniej. „Dla mnie nie ma idealów — odpowiedział. — Dopiero po mojej śmierci będziecie mówić, jaki to znakomity poeta umarł. Chcę iść krok za krokiem naprzód... To, że uważacie „Łaźnię” za lepszą od „Pluskwu”, wskazuje, że „Pluskwu” udało mi się nieco podnieść wasz smak do utworów dramatycznych”.

Nie żal, że nie zrealizowano filmów Majakowskiego. Bo przecież w nim samym, nie tylko w jego odbiorcach, działały takie właśnie dźwignie. W ogóle nie szkoda tego, co się nie stało. Może być szkoda tylko tego, co się dzieje. W ludziach i dookoła nich. Żeby się nie marnowało, żeby nie przegapić. I dlatego potrzebny jest Majakowski żywy.

Krzysztof T. Toeplitz